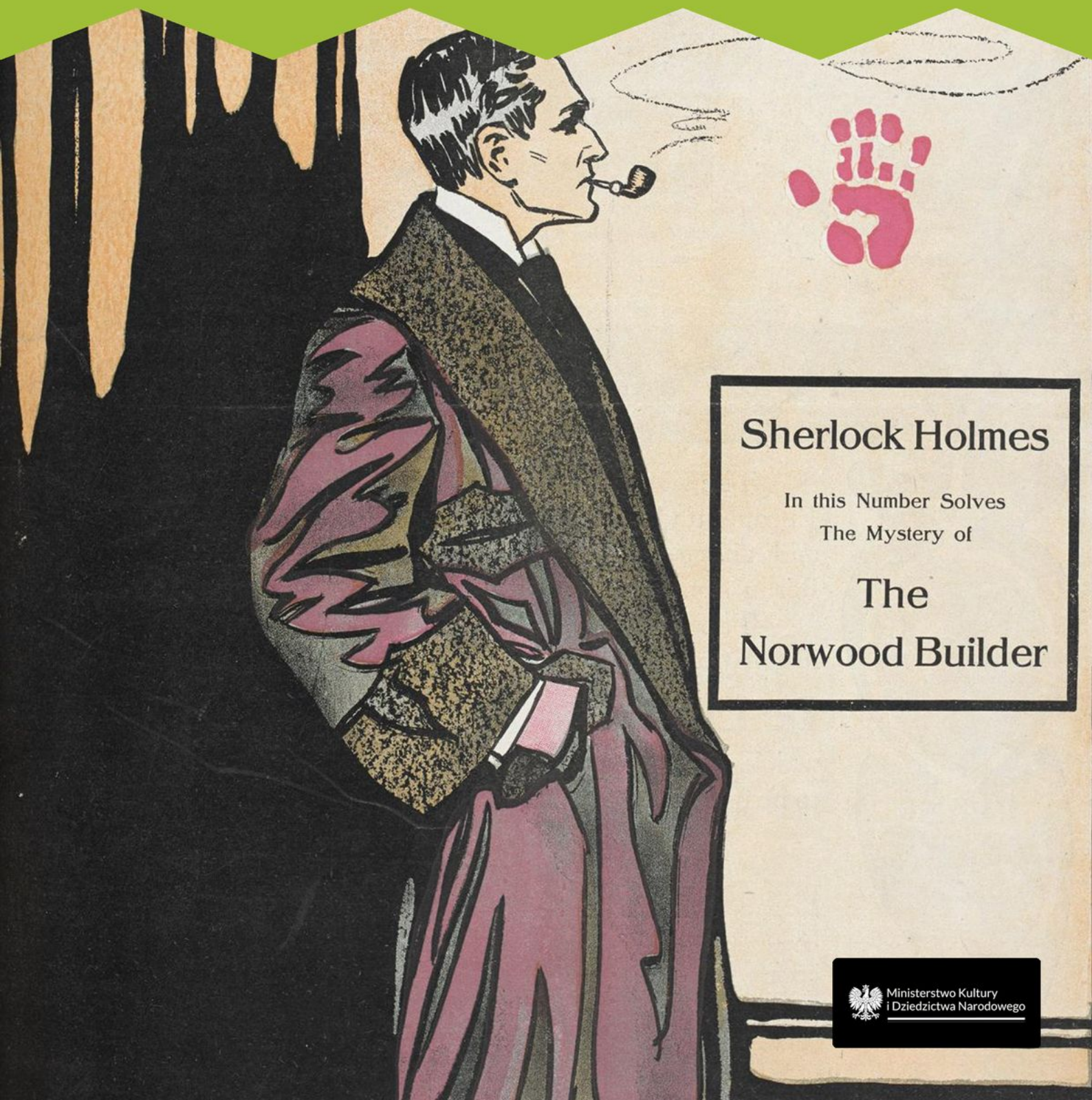


# Znak czterech



Sherlock Holmes

In this Number Solves  
The Mystery of

The  
Norwood Builder



ARTHUR CONAN DOYLE

## Znak czterech

TŁUM. WACŁAW WIDIGIER

### I. UMIEJĘTNOŚĆ DEDUKCJI

Sherlock Holmes zdjął z rogu kominka flaszeczkę, po czym z safianowego futerału wyjął strzykawkę. Długimi, białymi, nerwowymi palcami osadził cienką igłę i zakasał lewy mankiet koszuli. Wzrok jego na chwilę spoczął w zadumie na żyłastym przedramieniu pocętkowanym licznymi ukłuciami. W końcu wbił igłę w ciało, nacisnął tłok strzykawki i z głębokim westchnieniem zadowolenia z powrotem opadł na wyściełany aksamitem fotel.

Narkotyki

Od wielu miesięcy trzy razy dziennie byłem świadkiem tego zabiegu, ale nigdy nie mogłem się z nim pogodzić. Przeciwnie, z każdym dniem widok ten drażnił mnie coraz bardziej, a sumienie wyrzucało mi brak odwagi przeciwdziałania. Codziennie niemal obiecywałem sobie nie dopuścić więcej do czegoś podobnego, ale chłodne, swobodne obejście przyjaciela miało w sobie coś nieokreślonego, co nie pozwalało na zbyt dużą ufność. Nauczyłem się cenić jego wielkie zdolności i niepospolite zalety, onieśmielał mnie niekiedy wręcz jego ton despotyczny, wyniosły, i nie chciałem mu się narażać.

Tęgo dnia jednak, bądź pod wpływem kilku kieliszków Beaune<sup>1</sup>, wypitych przy lunchu, bądź że postępowanie Holmesa doprowadziło mnie do ostateczności, uczulem nagle, że dłużej nie wytrzymam.

— Na co dzisiaj kolej? — spytałem. — Morfina czy kokaina?

Narkotyki

Holmes z wolna uniośł oczy znad kart starej książki.

— Kokaina — odparł — roztwór siedmioprocentowy. Chcesz spróbować?

— Dziękuję — rzekłem szorstko. — Mój organizm nie uporał się jeszcze ze skutkami wyprawy do Afganistanu<sup>2</sup>, nie mogę sobie pozwalać na żadne wybryki.

Rozdrażniony ton odpowiedzi wywołał uśmiech Holmesa.

— Może masz słuszość, Watsonie — rzekł. — Zdaje się, że pod względem fizycznym te narkotyki źle na mnie wpływają. Niemniej tak niesłychanie pobudzają i rozjaśniają umysł, że wobec tego tamto ich oddziaływanie jest głupstwem.

Narkotyki, Zdrowie, Lekarz

— Zastanów się — rzekłem poważnie. — Pomyśl, czym to opłacasz! Twój umysł być może podnieca się i ożywia, ale jednocześnie odbywa się w twoim ustroju chorobliwy proces patologiczny, który pociąga za sobą spotęgowaną przemianę tkanek i w końcu może doprowadzić do zupełnego stanu osłabienia i wyczerpania. Wiesz także dobrze, jaka reakcja przychodzi później. Doprawdy gra nie warta świeczki. Po co, na miłość boską, dla przelotnej przyjemności narażasz się na utratę tych wielkich zdolności, jakimi obdarzyła cię natura? Pamiętaj, że mówię nie tylko jako przyjaciel, ale i jako lekarz do człowieka, za którego zdrowie jestem do pewnego stopnia odpowiedzialny.

Holmes nie wyglądał na obrażonego. Przeciwnie; złożył dłonie, a łokcie oparł na poręczach fotela, jak ktoś, kto z upodobaniem prowadzi rozmowę.

— Mój umysł — rzekł — buntuje się przeciw beczynności. Daj mi jakieś zagadnienie do rozwikłania, daj mi pracę, daj najtrudniejszy kryptogram albo najzawilszą analizę,

<sup>1</sup>Beaune — francuskie wino z regionu o tej nazwie. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>wyprawa do Afganistanu — tu: druga wojna brytyjsko-afgańska (1878–1880), konflikt zbrojny między Wielką Brytanią a Afganistanem, zakończony wycofaniem wojsk brytyjskich i zaakceptowaniem przez stronę afgańską brytyjskich interesów geopolitycznych w regionie. [przypis edytorski]



a zobaczysz mnie we właściwej atmosferze. Wówczas mogę się obywać bez sztucznej podniety. Ale mam wstręt do powszedniej, nudnej rzeczywistości. Trawi mnie gorączka pracy umysłowej. Dlatego właśnie obrałem swój specjalny zawód, albo raczej stworzyłem go, bo... jestem na świecie unikatem.

— Jedynym prywatny detektywem? — spytałem.

— Jedynym prywatnym detektywem-doradcą — poprawił. — Jestem ostatnim i najwyższym trybunałem apelacyjnym w sprawach śledczych. Gdy Gregson, Lestrade albo Athelney Jones tracą głowę, co nawiasem mówiąc, jest ich stanem normalnym, przedstawiają mi sprawę. Ja zaś badam rzecz jako ekspert i wydaję opinię specjalisty. Nie domagam się sławy. Mojego nazwiska nie znajdziesz w żadnej gazecie. Praca dla samej pracy, zadowolenie, że znajduję pole dla swych specjalnych zdolności to moja najwyższa nagroda. Ale miałeś przecież pewne doświadczenie z moją metodą pracy w sprawie Jeffersona Hope'a.

— Tak — rzekłem szczerze. — Nic nie wprawiło mnie w takie zdumienie. Opisałem nawet tę sprawę pod nieco fantastycznym tytułem: *Studium w szkartacie*.

Holmes ze smutkiem pokiwał głową.

— Przeglądałem tę książkę — rzekł. — Prawdę mówiąc, nie mogę ci jej powinszować. Śledztwo policyjne jest, albo raczej powinno być, nauką ścisłą i trzeba je traktować w sposób chłodny, trzeźwy. Ty zaś usiłowałeś zabarwić je romantyzmem, co wywołuje taki sam skutek, jakbyś próbował włączyć w piąty aksjomat Euklidesa<sup>3</sup> jakąś przygodę miłosną.

— Ale to naprawdę była romantyczna historia! — broniłem się. — Nie mogłem przecież przekreślać faktów.

— Niektóre fakty trzeba pomijać albo przynajmniej w traktowaniu ich należy zachować właściwą miarę. Jedyne punkty zasługujące w tej sprawie na wzmiankę to ciekawe analityczne snucie przyczyn ze skutków, dzięki czemu zdołałem wyjaśnić tę sprawę.

Podrażniła mnie ta jego krytyka książki, którą napisałem specjalnie, żeby zrobić mi przyjemność. Wyznaję też, że gniewał mnie egotyzm przyjaciela domagający się widocznie, aby każda linijka mojej powieści poświęcona była wyłącznie jego wyczynom. Niejednokrotnie w ciągu szeregu lat, jakie przemieszkalem z Holmesem przy Baker Street, zauważyłem, że pod pokrywką spokojnego, dydaktycznego zachowania mego towarzysza kryje się trochę próżności. Nie odpowiedziałem jednak, tylko siedziałem w milczeniu, masując nogę, którą mi przeszła kula w Afganistanie, a która pomimo zagojenia dawała mi się mocno we znaki przed każdą zmianą pogody.

— Moja praktyka rozszerzyła się ostatnio na kontynent — rzekł Holmes po chwili, nabijając fajkę tytoniem. — W ubiegłym tygodniu mojej porady zasięgał François le Villard, który, jak ci zapewne wiadomo, zdobywa w ostatnich czasach coraz wybitniejsze stanowisko we francuskiej policji śledczej. Posiada prawdziwie celtycką zdolność szybkiej intuicji, brak mu jednak szerszego poglądu i wiedzy ścisłej, co jest niezbędne dla wyższego rozwoju naszej sztuki. Sprawa dotyczyła testamentu i była dość zajmująca. Wskazałem mu dwie analogiczne sprawy: jedną w Rydze w roku 1857, drugą w St. Louis w roku 1871, co ułatwiło mu rozwikłanie. Oto list, który dostałem dziś rano z podziękowaniem za pomoc.

Mówiąc to, podał mi arkusik papieru listowego. Przebiegłem go wzrokiem i dostrzegłem mnóstwo wyrazów uwielbienia, jak „*magnifique*”, „*coup de maître*”, „*tour de force*”<sup>4</sup>, świadczących o gorącym podziwieniu Francuza dla mego przyjaciela.

— Pisz jak uczeń do mistrza — zauważyłem.

— Przecenia moją pomoc — rzekł Sherlock Holmes zimno. — Sam jest bardzo zdolny. Z trzech przymiotów niezbędnych dla idealnego detektywa posiada dwa: zmysł obserwacyjny i umiejętność dedukcji. Brak mu tylko, jak mówiłem, wiedzy, ale ta przyjdzie z czasem. Tłumaczy teraz moje drobne prace na język francuski.

<sup>3</sup>Euklides (ok. 300 p.n.e.) — czolowy matematyk grecki; „ojciec geometrii”, autor dzieła *Elementy*, do XIX w. będącego podstawowym podręcznikiem geometrii i wzorem ścisłości wykładu, w którym usystematyzował wiedzę matematyczną i jako pierwszy przedstawił ją w formie systemu wniosków z zaproponowanego przez siebie zestawu aksjomatów, czyli fundamentalnych tez uznawanych za prawdziwe i niewymagających dowodzenia. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>*magnifique, coup de maître, tour de force* (fr.) — wspaniale, mistrzowskie posunięcie, majstersztyk. [przypis edytorski]

— Twoje prace?

— Nie wiedziałeś? — rzekł, śmiejąc się. — Tak, popelnilem kilka monografi w kwestiach wyłacznie technicznych. Jedna na przyklad traktuje *O różnicach między popiołami z różnych gatunków tytoniu*. Wyliczam sto czterdzieści gatunków tytoniu cygar, papierosów i fajek, a kolorowe ilustracje wykazują różnice popiołów. Jest to szczegól, który występuje ciągle w sprawach kryminalnych i bywa nieraz nieslychaniem ważny jako poszlaka. Jeśli możesz stwierdzić, na przyklad, że jakieś morderstwo z pewnością popelnil człowiek palący cygaro indyjskie, sfera poszukiwań znacznie się zacieśni. Dla wprawnego oka różnica między czarnym popiołem cygara „Trichinopoly” a białawym „Hawanny” jest tak wielka, jak między kapustą a kartoflem.

— Masz nieslychany dar obserwacyjny — zauważyłem.

— Oceniam tylko właściwe znaczenie szczególów. Napisałem też monografię o śladach stóp i dodałem kilka uwag o sposobie używania gipsu jako środka do zachowania odcisku śladów. Wydałem także ciekawą książkę o wpływie zawodu człowieka na kształt dłoni i dołączyłem fotografie rąk blacharzy, marynarzy, zecerów, tkaczy i szlifierzy diamentów. Rzecz ta ma duże znaczenie praktyczne dla detektywa-naukowca, zwłaszcza w wypadkach, kiedy nie można stwierdzić tożsamości zwłok, albo przy badaniu trybu życia przestępców. Ale nudzę cię może swoim ulubionym konikiem?

— Bynajmniej. Zajmuje mnie to nieslychaniem, zwłaszcza od czasu, kiedy mam sposobność przyglądać się, jak teorię stosujesz w praktyce. Wspomniałeś jednak o obserwacji i dedukcji. A przecież jedna obejmuje do pewnego stopnia drugą.

— Nie bardzo — odrzekł, rozpierając się wygodnie w fotelu i puszczając kółka dymu.

— Na przyklad obserwacja wykazuje mi, że byłeś dziś rano w urzędzie pocztowym przy Wigmore Street, dedukcja zaś doprowadza mnie do wniosku, że wysłałeś stamtąd depeszę.

— Zgadłeś! — zawołałem. — Nie omyliłeś się ani co do jednego, ani co do drugiego. Nie mam tylko pojęcia, w jaki sposób doszedłeś do tego wniosku. Przyszło mi to nagle do głowy i nie wspominałem o tym nikomu.

— To takie proste — odparł, śmiejąc się z mego zdumienia. — Tak zabawnie proste, że wyjaśnienie nawet jest zbyteczne; nie poskąpię go jednak, bo może posłużyć ci do określenia granic obserwacji i dedukcji. Zmysł obserwacji powiedział mi, że twoje stąpnienia pozostawiają czerwone ślady. Otóż naprzeciw poczty przy Wigmore Street wyjęto bruk i poruszono ziemię akurat w miejscu wejścia do urzędu. Ziemia ma tam specyficzny czerwony odcień. Tu kończy się obserwacja. Reszta to rzecz dedukcji.

— W jaki sposób zatem doprowadziła cię do wniosku, że wysłałem depeszę?

— Wiedziałem, że nie pisałeś listu, skoro siedziałem naprzeciwko ciebie cały ranek. Widzę też na twoim biurku cały arkusz znaczków i sporą paczkę kartek pocztowych. Po cóż więc poszedłeś na pocztę, jeśli nie po to, żeby wysłać depeszę? Wyliminuj wszystkie inne czynniki, a ten, który pozostanie, musi być prawdą.

— W tym przypadku masz rację — odparłem po chwili. — Lecz sam mówisz, że to przypadek bardzo prosty. Czy nie posądzisz mnie o zarozumiałość, jeśli poddam twoje teorie cięższej próbie?

— Przeciwnie — rzekł — uchroni mnie to przed wzięciem drugiej dawki kokainy. Będę szczęśliwy, jeśli dzięki tobie znajdę się wobec jakiegoś nowego zagadnienia.

— Mówiłeś mi niegdyś, że człowiek zwykle zostawia na rzeczach codziennego użytku swoje indywidualne piętno, tak że wprawny obserwator dostrzeże je nieomylnie. Mam tu zegarek, który niedawno dostałem. Czy zechciałbyś łaskawie powiedzieć swoje zdanie o przyzwyczajeniach ostatniego posiadacza zegarka?

To mówiąc, podałem mu z uśmiechem zegarek, ubawiony swoim pomysłem, bo zdawało mi się, że tej próbie nie sprosta. Chciałem mu dać w ten sposób nauczkę za dogmatyczny ton, jaki niekiedy miewał. Holmes ważył zegarek w dłoni, obejrzał uważnie cyferblat, otworzył kopertę i przyglądał się bacznie werkowi<sup>5</sup>, najpierw gołym okiem, a następnie przez lupę. Po chwili zamknął zegarek i podał mi go, a był przy tym tak zbity z tropu, że ledwie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

— Nie ma tu prawie żadnych danych — rzekł. — Zegarek był niedawno czyszczony, a to pozbawia mnie najważniejszych wskazówek.

<sup>5</sup>werk (z niem.) — mechanizm zegarka. [przypis edytorski]

— Masz słuszość — odparłem. — Został oczyszczony, zanim mi go przysłano.

W duszy oskarżałem jednak towarzysza, że podaje bardzo niedorzeczną wymówkę dla zamaskowania swej porażki. Jakich danych mógł się spodziewać w zegarku nieczyszczonym?

— Jakkolwiek moje badanie nie dało pożądaných wyników, niemniej nie było zupełnie jałowe — zauważył Holmes, spoglądając w sufit zamglonymi oczyma. — Jestem prawie pewny, że zegarek ten należał do twego starszego brata, który go odziedziczył po ojcu.

— Wnosisz to zapewne z liter H. W. na kopercie, prawda?

— Tak. Litera W każe mi się domyślać twego nazwiska. Data zegarka jest sprzed pięćdziesięciu lat, a inicjały są równie stare jak zegarek; należał zatem do kogoś z poprzedniego pokolenia. Biżuteria przechodzi zwykle na najstarszego syna, który najczęściej nosi imię ojca. Ojciec twój zmarł, o ile się nie mylę, dość dawno temu. Zegarek tedy<sup>6</sup> był w rękach twego najstarszego brata.

— Jak dotąd nie mylisz się we wnioskach — rzekłem. — Cóż dalej?

— Był to człowiek nieporządny. Nieporządny i niedbały. Miał bardzo dobre widoki na przyszłość, ale nie skorzystał z nich; żył przez czas jakiś w ubóstwie, potem znów powodziło mu się lepiej, a w końcu rozpił się i umarł. To wszystko, czego zdołałem się dowiedzieć.

Podrażniony, z sercem pełnym goryczy, zerwałem się z krzesła i zacząłem kuśtykać po pokoju.

— To niegodne ciebie, Holmesie — rzekłem. — Nigdy bym nie przypuszczał, że zniżysz się do czegoś takiego. Dowiedziałeś się skądś szczegółów życia mego nieszczęśliwego brata, a teraz twierdzisz, że dedukujesz je w jakiś fantastyczny sposób. Nie możesz chyba wymagać, żebym uwierzył, iż wyczytałeś to wszystko z jego zegarka! To nieładnie z twojej strony, a mówiąc szczerze, zakrawa na szarlatanerię.

— Drogi doktorze — rzekł łagodnie — bardzo cię przepraszam. Rozpatrując całą sprawę jako zagadnienie abstrakcyjne, zapomniałem, jak dalece ta sprawa dotyczy cię osobiście i jak może ci być przykra. Zapewniam cię jednak, że nie wiedziałem, iż miałeś brata, dopóki mi nie wręczyłeś tego zegarka.

— W takim razie, w jakież cudowny sposób domyśliłeś się tych wszystkich faktów? Są zgodne z prawdą w każdym szczególe.

— To szczęśliwy zbieg okoliczności, bo mogłem tylko robić przypuszczenia. Nie spodziewałem się, że będę tak ścisły.

— Ale przecież to nie było proste zgadywanie?

— Nie, nie. Nigdy nie zgaduję. To złe przyzwyczajenie... zgubne dla logiki. Niejedno wydaje ci się osobliwe dlatego, że nie śledzisz biegu moich myśli albo też nie zwracasz uwagi na drobne fakty, z których można nieraz wysnuć ważne wnioski. Na przykład zacząłem od twierdzenia, że twój brat był niedbały. Gdy się przyjrzyjiesz niższej części koperty zegarka, dostrzeżesz, że jest nie tylko wgnieciona w dwóch miejscach, ale cała porysowana, a to skutkiem tego, że w tej samej kieszeni noszono inne przedmioty, jak drobne pieniądze lub klucze. Niewielka zatem sztuka wywnioskować stąd, że człowiek obcho-dzący się w taki sposób z zegarkiem za pięćdziesiąt gwinei<sup>7</sup> jest człowiekiem niedbałym. Nietrudny jest tu również domysł, iż kto dziedziczy jeden przedmiot tak znacznej wartości, jest i pod innym względem dobrze sytuowany.

Skinąłem głową na znak, że śledzę bieg jego rozumowania.

— Lombardy w Anglii, przyjmując zegarek, mają zwyczaj wydrapywania szpilką wewnątrz koperty numeru kwitu. Jest to wygodniejsze niż kartka, a przy tym w ten sposób numer nie może zaginąć. Otóż przez lupę dojrzałem aż cztery takie numery wewnątrz koperty. Stąd wniosek pierwszy, że brat twój bywał często w kłopotach finansowych, a drugi, że miał okresy dobrobytu, inaczej bowiem nie mógłby wykupywać zastawu. W końcu spójrz na kopertę wewnętrzną, w której znajduje się otwór na kluczyk. Patrz na te rysy dokoła dziurki... to znak, że kluczyk się obsuwał. Czy trzeźwy człowiek zrobiłby

<sup>6</sup>tedy (daw.) — więc, zatem. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>gwinea — dawna angielska moneta ze złota, później zwyczajowa nazwa jednostki obrachunkowej równej 21 szylingom (funt i jeden szyling), używana głównie do określania cen towarów luksusowych, honorariów itp. [przypis edytorski]

coś podobnego? Nie zobaczysz zaś nigdy zegarka pijaka bez takich zadrapań. Pijak nakreca go w nocy i pozostawia ślady niepewnej ręki. Gdzie tu w tym wszystkim tajemnica?

— Ależ to jasne jak słońce — odparłem. — Przykro mi, że byłem taki niesprawiedliwy. Powinienem być mieć więc zaufania do twoich zdumiewających zdolności. A wolno spytać, czy masz jakieś zajmujące śledztwo na warsztacie?

— Nie. Dlatego wracam do kokainy. Nie mogę żyć bez pracy umysłowej. Bo i cóż życie bez tego warte? Spójrz przez okno. Jaki ten świat ponury, okropny, nudny! Patrz, jak mgła włóczy się po ulicach, jak osiada na tych szpetnie malowanych domach. Czy może być coś prozaiczniejszego? Na co się zda mój szczególny talent, jeśli nie mam pola do jego zastosowania? Zbrodnia jest banalna, życie banalne i... tylko banalne, pospolite zdolności znajdują zawsze pole do popisu.

Otworzyłem już usta, chcąc coś odpowiedzieć, gdy rozległo się krótkie pukanie do drzwi i weszła nasza gospodyni, niosąc na tacy bilet wizytowy.

— Jakaś młoda dama do pana — rzekła, zwracając się do Holmesa.

— Mary Morstan — przeczytał Sherlock. — Hm... nie pamiętam, żebym kiedyś słyszał to nazwisko. Niech pani poprosi tę panią. Doktorze, nie odchodź.

## II. NOWA SPRAWA

Miss Morstan weszła do pokoju pewnym krokiem, zupełnie spokojna. Była to drobna, młoda blondynka, ubrana z dużym smakiem. Pomimo tego strój jej uderzał skromnością i prostotą, która pozwalała domyślać się, że jej środki materialne są ograniczone. Suknia z ciemnego, popielatego beżu nie była niczym przybrana ani obszyta, na jasnych włosach miała toczek koloru sukni, przybrany białym piórkiem, przypiętym z boku. Twarz jej nie odznaczała się regularnością rysów ani pięknnością cery, ale miała wyraz słodki i miły, a wielkie błękitne oczy były niezwykle bystre i szlachetne. Widziałem kobiety rozmaitych narodowości i trzech różnych kontynentów, lecz nie zdarzyło mi się spotkać oblicza, na którym wyraźniej odbijałyby się natura subtelna i wrażliwa. Zauważyłem, że kiedy siadała na krzesła, które podsunął Sherlock Holmes, miss Morstan była wzburzona, usta jej drżały, ręce poruszały się nerwowo.

— Przyszedł do pana, panie Holmes — rzekła wreszcie — bo pan dopomógł niedys mojej chlebobdawczyni, Cecylii Forrester, w rozwiązaniu pewnego domowego problemu. Nie może zapomnieć pańskiej uprzejmości i umiejętnego prowadzenia śledztwa.

— Pani Cecylia Forrester... — powtórzył Holmes w zamyśleniu. — Zdaje się, że byłem jej pomocny. Lecz, o ile pamiętam, była to jakaś bardzo prosta sprawa.

— Jej zdaniem nie. W każdym razie nie będzie pan mógł powiedzieć tego o mojej sprawie. Trudno sobie wyobrazić coś dziwniejszego, bardziej niejasnego niż sytuacja, w jakiej się znalazłam.

Holmes zatarł ręce, oczy mu rozbłysły. Rozparł się wygodnie w fotelu, a na twarzy osiadł mu wyraz skupienia.

— Proszę, niech pani powie, o co chodzi — rzekł urzędowym tonem.

Moje położenie zaczynało być kłopotliwe, czułem, że jestem zupełnie zbyteczny.

— Przepraszam, wychodzę — rzekłem, wstając.

Ku memu wielkiemu zdziwieniu miss Morstan wyciągnęła ku mnie drobną dłoń, odzianą w elegancką rękawiczkę.

— Gdyby pański przyjaciel — rzekła do Holmesa — zechciał pozostać, mógłby mi oddać nieocenioną przysługę.

Usiadłem.

— Krótko mówiąc — ciągnęła dalej — oto parę faktów. Ojciec mój służył w pułku indyjskim i odesłał mnie do kraju, gdy byłem jeszcze małym dzieckiem. Matka nie żyła, nie miałam w Anglii żadnych krewnych. Umieszczono mnie w pensjonacie w Edynburgu i tam pozostałam do siedemnastego roku życia. W roku 1878 ojciec, wówczas w randze kapitana, otrzymał roczny urlop i przyjechał do kraju. Telegrafował do mnie z Londynu, że przybył szczęśliwie i wezwał, abym niezwłocznie przyjechała i zgłosiła się do Hotelu Langham, gdzie się zatrzymał. Wybrałam się natychmiast. Przybywszy do Londynu, pojechałam do wskazanego hotelu i dowiedziałam się, że kapitan Morstan tu mieszka, ale wyszedł poprzedniego wieczora i jeszcze nie wrócił. Czekałam przez cały następny

Narkotyki, Nuda

Kobieta, Strój, Uroda

Tajemnica

dzień. Wieczorem, idąc za radą hotelarza, zawiadomiłam policję, a nazajutrz dałam ogłoszenie do gazet. Poszukiwania pozostały bez skutku i od owego czasu po dziś dzień nie mam o ojcu żadnej wieści. Powrócił pełen nadziei, spodziewając się znaleźć wypoczynek i spokój, a tymczasem...

Podniosła dłoń do oczu, łkanie przerwało jej dalsze słowa.

— Kiedy to miało miejsce? — spytał Holmes, otwierając notatnik.

— Znikł trzeciego grudnia 1878 roku... blisko dziesięć lat temu.

— A jego bagaże?

— Zostały w hotelu. Nie było w nich nic, co mogłoby dać jakąkolwiek wskazówkę. Trochę ubrania, kilka książek i spory zbiór osobliwości z Wysp Andamańskich<sup>8</sup>, gdzie był oficerem straży więziennej.

— Czy miał jakichś przyjaciół w Londynie?

— Wiem tylko o jednym, majorze Sholto z tego samego trzydziestego czwartego pułku piechoty bombajskiej. Major opuścił służbę na krótko przed ojcem i zamieszkał w Upper Norwood<sup>9</sup>. Porozumiałam się z nim oczywiście, ale nie wiedział nawet, że jego kolega przybył do Anglii.

— Szczególna sprawa — zauważył Holmes.

— Nie powiedziałam panu jeszcze, co w tym jest najszczególniejsze. Oto sześć lat temu, dla ścisłości dodam, że było to czwartego maja 1882 roku, ukazało się w „Timesie” ogłoszenie zapytaniem o adres Mary Morstan. Zaznaczono przy tym, że podanie adresu będzie leżeć w moim własnym interesie. W ogłoszeniu nie było adresu ani nazwiska. W owym czasie właśnie zaczęłam pracować jako nauczycielka u pani Forrester. Za jej radą podałam swój adres. Tego samego dnia przysłało mi pocztą małe tekturowe pudełeczko, w którym znalazłam bardzo dużą, piękną perłę. Lecz poza tym nic: ani listu, ani nawet kartki. Odtąd co roku tego samego dnia otrzymywałam analogiczne pudełko, zawierające taką samą perłę, bez jakichkolwiek danych co do osoby nadawcy. Pewien jubiler powiedział mi, że perły są niezwyklej piękności i mają dużą wartość. Niech się pan sam przekona, są bardzo ładne.

Mówiąc to, wyjęła z kieszeni małe, płaskie pudełko, otworzyła je i pokazała nam sześć pereł tak pięknych, jakich w życiu nie widziałem.

— Pani opowieść jest nader ciekawa — rzekł Sherlock Holmes. — Czy zdarzyło się pani jeszcze coś szczególnego?

— Tak, i to nie dalej jak dziś. Dlatego właśnie przyszłam do pana. Dziś rano otrzymałam ten oto list, który może zechce pan przeczytać.

— Dziękuję — rzekł Holmes. — Proszę też o kopertę. Znaczek z Londynu, data siódmego lipca. Hm... w rogu odcisk męskiego kciuka... Prawdopodobnie listonosza. Papier najlepszego gatunku. Koperty po sześć pensów paczka. Człowiek dbający o swoje materiały piśmienne. Bez adresu... „Proszę być dzisiaj o siódmej wieczorem pod trzecią kolumną z lewej strony w przedsiönku Lyceum Theatre<sup>10</sup>. Jeżeli się pani obawia, proszę przyprowadzić ze sobą dwóch przyjaciół. Jest pani kobietą pokrzywdzoną i sprawiedliwości powinno stać się zadość. Niech pani nie zawiadamia policji”... Ha, ha!... „Jeśli to pani uczyni, wszystko przepadnie. Nieznany przyjaciel”. No, no, niezła tajemnica! I cóż pani zamierza uczynić, miss Morstan?

— Przyszłam właśnie, żeby się pana poradzić.

— W takim razie pójdziemy stanowczo... pani i ja... tak, doskonale, i doktor Watson. Ten jegomość pisze o dwóch przyjaciółach. Doktor nieraz już był mi pomocny.

— Tylko czy zechce pójść? — zapytała z prośbą w głosie i spojrzeniu.

— Będę dumny i szczęśliwy — rzekłem skwapliwie — jeśli zdołam się pani przydać.

— Jesteście panowie obaj bardzo uprzejmi — podjęła. — Prowadzę samotne życie i nie mam przyjaciół, do których mogłabym się zwrócić. Przyjdę o szóstej, nie będzie za późno?

<sup>8</sup>Wyspy Andamańskie a. *Andamany* — archipelag leżący na Oceanie Indyjskim, pomiędzy Zatoką Bengalską a Morzem Andamańskim, odległy o ok. 1300 km od Indii kontynentalnych. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>Upper Norwood — obszar w pld. części Londynu, obejmujący położone na wzgórzu dzielnice Bromley, Croydon, Lambeth i Southwark. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Lyceum Theatre — teatr na West Endzie, tuż przy ulicy Strand w centrum Londynu. [przypis edytorski]

— Nie; ale nie później — rzekł Holmes. — Jeszcze jedno pytanie. Czy list i adresy na przesyłkach z perłami są pisane jednym charakterem pisma?

— Mam je przy sobie — odparła, wyjmując sześć karteczek papieru.

— Jest pani doprawdy wzorową klientką. Zobaczmy. — Rozłożył kartki na stole i przyglądał im się uważnie.

— Wszystko pisane zmienionym charakterem, z wyjątkiem listu — rzekł w końcu — ale nie ulega kwestii, że to ręka jednej i tej samej osoby. Proszę spojrzeć na to „e” i na zakręt przy „s”. Wszędzie powtarzają się jednakowo. Niewątpliwie pisane tą samą ręką... Nie chciałbym budzić w pani fałszywych nadziei, ale... czy istnieje jakieś podobieństwo między tym charakterem pisma a pismem pani ojca?

— Żadnego, absolutnie żadnego.

— Spodziewałem się takiej odpowiedzi. Będziemy zatem czekać na panią o szóstej. Niech mi pani zostawi te papiery. Może będę musiał przejrzeć je raz jeszcze. Jest dopiero wpół do czwartej. Zatem *au revoir*<sup>11</sup>.

— *Au revoir* — odpowiedziała miss Morstan i rzuciwszy każdemu z nas jasne, pogodne spojrzenie, schowała pudełko z perłami i wyszła.

Stojąc w oknie, patrzyłem za nią, jak szła szybkim krokiem i nie odwróciłem się, dopóki popielaty toczek z białym piórem nie znikł w szarym tłumie.

— Cóż za atrakcyjna kobieta! — wykrzyknąłem, zwracając się do mego towarzysza.

Holmes zapalił fajkę, przymknął powieki i odchylił się na oparcie fotela.

— Doprawdy? — rzekł leniwie. — Nie zauważyłem.

— Jesteś automatem... arytmometrem<sup>12</sup>! Chwilami masz w sobie stanowczo coś nie-ludzkiego.

Uśmiechnął się łagodnie.

— Nie można pozwolić, by na naszą opinię wpływały czyjekolwiek zalety osobiste. To rzecz pierwszorzędnej wagi. Klient jest dla mnie tylko zwyczajną jednostką, czynnikiem w zagadce. Zalety wywołujące wrażenie są wrogami jasnego rozumowania. Zapewniam cię, że najładniejsza, najbardziej ujmująca kobieta, jaką znałem, została powieszona za otrucie trojga małych dzieci, bo były ubezpieczone, a najbardziej odrażający mężczyzna spośród moich znajomych jest filantropem, który wydał prawie ćwierć miliona na ubogich Londynu.

— W tym wypadku... jednak...

— Nigdy nie robię wyjątków. Wyjątek zaprzecza regule. Miałaś kiedyś sposobność badania charakteru na podstawie pisma? Co wnosisz z bazgraniny tego jegomościa?

— Pismo jest czytelne i regularne — odparłem. — To człowiek mający przyzwyczajenia handlowca i pewną siłę charakteru.

Holmes potrząsnął głową.

— Spójrz na jego wysokie litery — rzekł. — Ledwie wznoszą się ponad linię innych. To „d” może być „a”, a to „l” można wziąć za „e”. Ludzie z charakterem zawsze silnie zaznaczają wysokie litery, choćby pisali bardzo niewyraźnie. W jego „k” przebija się wahanie, a duże litery wykazują pewne poczucie własnej wartości.

— Teraz wychodzę — rzekł po chwili. — Chcę zasięgnąć wiadomości. Polecam ci tę książkę... jedna z najlepszych, jakie kiedykolwiek napisano... *Męczeństwo człowieka* Winwooda Reade'a<sup>13</sup>. Wróć za godzinę.

Siedziałem w oknie, trzymając książkę w ręku, ale myśli moje odbiegły daleko od śmiałych twierdzeń filozoficznych autora. Zajęte były naszą klientką... jej uśmiechem, głębokim, dźwięcznym tonem jej głosu, szczególną tajemnicą jej życia. Jeśli miała siedemnaście lat, gdy znikł jej ojciec, musi mieć teraz dwadzieścia siedem... Ponętny wiek, w którym młodość traci już swoją nieświadomość i staje się trzeźwiejsza dzięki zdobytemu doświadczeniu.

Rozum, Pozory

Kobieta, Młodość

<sup>11</sup>*au revoir* (fr.) — do widzenia. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>*arytmometr* — dawna mechaniczna maszyna licząca, służąca do wykonywania działań arytmetycznych, napędzana ręcznie, dźwignią lub korbką, albo elektrycznie. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>*Reade, William Winwood*, (1838–1875) — brytyjski historyk, powieściopisarz i filozof; autor m.in. historii powszechnej pt. *Martyrdom of Man* (Męczeństwo człowieka, 1872). [przypis edytorski]



Siedziałem w zadumie, aż wreszcie powstały mi w głowie myśli tak niebezpieczne, że... podążyłem spiesznie do biurka i pograżyłem się z zapalem w jakimś podręczniku patologii.

Jak ja, ubogi chirurg z chorą nogą, mogłem mieć takie zuchwałe myśli? Ona jest jednostką, czynnikiem, niczym więcej! Jeśli moja przyszłość ma być smutna, lepiej stawić jej czoło po męsku niż usiłować rozjaśnić ją niedorzecznymi rojeniami...

### III. POSZUKIWANIA

Holmes powrócił o wpół do szóstej. Był wesoły, ożywiony, w doskonałym humorze, a takie usposobienie kończyło się u niego zawsze napadami okropnego przygnębienia.

— Niewielka tajemnica w tym wszystkim — rzekł, biorąc filiżankę herbaty, którą mu nalałem. — Wyjaśnienie tych faktów może być tylko jedno.

— Co takiego? Już je znalazłeś?

— No, to może jeszcze za dużo powiedziane... Odkryłem tylko pewien znamieny fakt, nawet bardzo znamieny. Brak mi jeszcze szczegółów. Przeglądając stare komplety numerów „Timesa”, stwierdziłem mianowicie, że major Sholto z Upper Norwood, który służył w trzydziestym czwartym pułku piechoty bombajskiej, zmarł dnia dwudziestego ósmego kwietnia 1882 roku.

— Może to dowód mojej głupoty, ale nie mogę dopatrzeć się w tej śmierci wielkiego znaczenia.

— Nie?... Zdumiewasz mnie. Zastanów się dobrze. Kapitan Morstan znika nagle. Jedynym człowiekiem, którego mógł tu odwiedzić, jest major Sholto. Major twierdzi, że nic nie wiedział o przybyciu Morstana do Londynu. W cztery lata później Sholto umiera. W tydzień zaś po jego śmierci córka kapitana Morstana otrzymuje kosztowny prezent, co powtarza się systematycznie rokrocznie, po czym nadchodzi list, który określa ją jako osobę pokrzywdzoną. O jakiej krzywdzie może być mowa, jeśli nie o tym, że została pozbawiona ojca? I dlaczego przesyłka pereł zaczyna się natychmiast po śmierci Sholta? Czy nie dlatego, że spadkobierca zna fatalną tajemnicę i pragnie powetować wyrządzoną krzywdę? A może wpadłeś na inne przypuszczenie, bardziej odpowiednie?

— Ale co za dziwna rekompensata i skąd ten list teraz, a nie przed sześciu laty? Powiada, że zostanie wymierzona sprawiedliwość. Jak to rozumieć? Trudno przypuszczać, że jej ojciec jeszcze żyje. Nie wiemy zaś o żadnej innej niesprawiedliwości.

— Są w tej historii ciemne miejsca, z pewnością są ciemne miejsca... — rzekł Holmes w zamyśleniu — ale nasza wycieczka powinna je wyjaśnić. Otóż i dorożka, mamy miss Morstan. Jesteś gotów? Idziemy, bo już trochę po szóstej.

Wziąłem kapelusze i najcięższą laskę. Zauważyłem przy tym, że Holmes wyjął z szuflady rewolwer i włożył do kieszeni. Spodziewał się widocznie, że wycieczka może obfitować w poważne niespodzianki.

Miss Morstan była otulona w ciemny płaszcz, oblicze jej było spokojne, lecz przybladłe. Nie byłaby kobietą, gdyby nie odczuwała żadnego niepokoju w takich okolicznościach. Panowała jednak nad sobą całkowicie i uprzejmie odpowiadała na pytania Sherlocka Holmesa.

— Major Sholto był bliskim przyjacielem ojca — mówiła. — Ojciec często wspominał w listach swych o majorze. Obaj dowodzili oddziałami na Wyspach Andamańskich, wiele ze sobą przebywali. Nie przypuszczam, żeby ten papier miał większe znaczenie, ale na wszelki wypadek zabrałam go dla pana.

Podawała arkusz papieru, który Holmes rozłożył i rozprostował na kolanach.

Zaraz też zaczął badać go przez lupę.

— Papier został wyprodukowany w Indiach — zaznaczył. — Był widocznie przez pewien czas przybity do jakiejś tablicy. Rysunek wyobraża, zdaje się, plan części większej budowli z korytarzem, przejściami i salami. W jednym miejscu mamy krzyżyk czerwonym atramentem z ołówkowym napisem nad nim: „3.37 od lewej”. W lewym rogu dziwny hieroglif, przypominający cztery krzyżyki w jednym rzędzie, stykające się ramionami. Tuż przy krzyżykach niewprawnym pismem nakreślono wyrazy: „Znak czterech — Jonathan Small, Mahomet Singh, Abdullah Khan i Dost Akbar”. Nie, doprawdy, muszę przyznać, że nie rozumiem, co to ma za związek z naszą sprawą. Ale jest to bądź co bądź dokument

dużego znaczenia. Przechowywany był starannie w portfelu, gdyż i jedna strona, i druga jest tak samo czysta.

— Znaleźliśmy to w portfelu ojca.

— Niech pani dobrze schowa ten papier, bo może nam być pomocny. Zaczynam przypuszczać, że sprawa będzie bardziej zawiślana, niż zrazu sądziłem. Muszę skupić myśli.

Wsunął się w głąb dorożki, a ściągnięte brwi i nieobecne spojrzenie wskazywały, że wytężał umysł. Miss Morstan rozmawiała ze mną półgłosem o naszej wyprawie i jej możliwym wyniku, a nasz towarzysz nie odezwał się już do końca podróży.

Był to wieczór wrześnieowy, posępny, chmurny. Obłoki gęstej mgły zawisły nisko nad stolicą, brudnoszare chmury kłębiły się z wolna nad zabloconymi ulicami. Wzdłuż Strandu<sup>14</sup> latarnie wyglądały jak niewyraźne plamy przyćmionego światła, rzucające kręgi bladego blasku na oślizgły bruk. Z wystaw sklepowych padał strumień żółtawego światła, oblewał posępną jasnością rojący się od ludzi chodnik — i gasł w obłoku mgły.

W nieskończonym pochodzie twarzy smutnych i wesołych, wynędzniałych i zadowolonych, które przesuwają się w tych wąskich pasmach świetlnych, było dla mnie coś niezmiernego. Szły niby duchy. Podobnie jak cały ród ludzki, wylaniały się z ciemności na światło i znów zapadały w ciemność. Nie jestem zbyt wrażliwy, ale ponury, mglisty wieczór i niezwykła sprawa, jaka nas absorbowowała, rozdrażniły mnie i przygnębiły.

Z zachowania się miss Morstan wywnioskowałem, że i ją ogarnęło to samo uczucie. Tylko Holmes był ponad takie drobne wpływy. Trzymał na kolanach otwarty notatnik i od czasu do czasu pisał coś przy świetle latarki kieszonkowej.

W Lyceum Theatre ścisk był już przy bocznych wejściach. Przed wejście główne zajeżdżał nieustanny szereg dorożek i powozów, z których wysiadali wyfraczeni mężczyźni i wybrylantowane, strojne kobiety. Zaledwie doszliśmy do trzeciej kolumny, miejsca umówionego spotkania, gdy zaczął nas niski, ruchliwy brunet w ubraniu dorożkarza.

— Czy panowie przychodzą z miss Morstan? — spytał.

— Jestem miss Morstan, a ci panowie są moimi przyjaciółmi — rzekła.

Spojrzał na nas przenikliwym, badawczym wzrokiem.

— Pani wybaczy — zaczął nieufnym tonem — ale mam prosić, żeby pani dała słowo, iż żaden z pani towarzyszy nie jest z policji.

— Daję panu słowo.

Wówczas gwizdnął przeraźliwie, a na ten znak jakiś chłopiec podprowadził dorożkę i otworzył drzwiczki. Człowiek, który z nami rozmawiał, siadł na koźle, a my zajęliśmy miejsca wewnątrz. Zaledwie się usadowiliśmy, woźnica zaciął konia i popędziliśmy pełnym klusem po mglistych ulicach.

Sytuacja stawała się coraz ciekawsza. Jechaliśmy do nieznanego miejsca w nieznannej sprawie. Wezwanie było bądź zupełnym oszustwem — co wydawało mi się nieprawdopodobne — albo też wyprawa mogła zakończyć się ważnym odkryciem. Miss Morstan zachowała spokój i panowanie nad sobą. Usiłowałem rozweselić ją i rozerwać opowiadaniem mych przygód w Afganistanie, ale mówiąc szczerze, byłem sam tak zdenerwowany i zaciekawiony, że moje opowiadanie nie miało wielkiego sensu.

Niejednokrotnie później miss Morstan zapewniała mnie, że opowiadałem jej między innymi wzruszającą scenę, jak w środku nocy karabin wsunął łeb do mego namiotu, a ja palnąłem do niego z młodego, dwulufowego tygrysa! Początkowo zdawałem sobie jako tako sprawę z kierunku, w jakim jechaliśmy. Niebawem wszakże, wobec mgły i mej słabej znajomości Londynu oraz szybkiej jazdy, zatraciłem orientację i wiedziałem tylko, że jedziemy bardzo daleko. Sherlock Holmes orientował się doskonale i coraz to rzucał półgłosem jakąś nazwę, w miarę jak dorożka toczyła się skwerami i skręcała w boczne ulice.

— Rochester Row — mówił. — Teraz Vincent Square. Wyjeżdżamy na Vauxhall Bridge Road. Jedziemy w stronę Surrey... A co, nie omyliłem się! Teraz jesteśmy na moście. Widać rzekę.

Istotnie dostrzegliśmy w przelocie Tamizę i światło latarni odbijające się w rozległej cichej toni. Ale dorożka pędziła dalej i wnet wtoczyła się w nowy labirynt ulic.

<sup>14</sup>Strand — ulica w środkowej części Londynu. [przypis edytorski]

— Wordsworth Road — odezwał się nasz towarzysz. — Priory Road. Lark Hall Lane. Stockwell Place. Robert Street. Coldharbour Lane. Wyprawa nie prowadzi nas, widzę, do wytwornych dzielnic.

Rzeczywiście, wjechaliśmy w okolicę niezbyt bezpieczną. Długie szeregi posępnych koszarowych kamienic przerywane były na rogach ulic jaskrawo oświetlonymi jadalniami. Potem ujrzelśmy rzędy dwupiętrowych willi z miniaturowymi ogródkami, a następnie zaczęły się znów nieskończone szeregi wielkich kamienic — ramiona polipa, którymi olbrzymia stolica ogarniała coraz to większe podmiejskie tereny.

Wreszcie dorożka zatrzymała się przed trzecim domem w zupełnie nowej dzielnicy. Żaden z sąsiednich domów nie wyglądał na zamieszkały, a w domu, przed którym stanęliśmy, panowała taka sama ciemność jak wszędzie. W kuchni tylko jaśniało światło. Zastukaliśmy do drzwi i niezwłocznie otworzył je nam hinduski służący, ubrany w żółty turban i białe, luźne szaty, przepasane żółtą szarfą. Ta wschodnia postać stojąca w najpospolitszych drzwiach podrzędnego domu podmiejskiego jakoś dziwnie do niego nie pasowała.

— *Sahib*<sup>15</sup> czeka na państwa — rzekł Hindus, a jednocześnie doleciał nas z wnętrza cienki, piskliwy głos:

— Prowadź ich do mnie, *khitmutgar*<sup>16</sup>! Prowadź ich prosto do mnie!

#### IV. OPOWIEŚĆ ŁYSEGO CZŁOWIEKA

Hindus prowadził nas przez brudny, źle oświetlony korytarz. Po chwili stanął przed drzwiami z prawej strony i otworzył je. Strumień żółtego światła padł na nas, a pośrodku tego blasku stał niski mężczyzna o bardzo dużej głowie, okolonej wieńcem rudych, sterczących jak szczecina włosów, spośród których wystawała łysa, świecąca czaszka, niby wierzchołek góry spomiędzy szczytów drzew. Splótszy dłonie, wykręcał je nerwowo, a twarz jego była w ciągłym ruchu — uśmiechała się, to znów wykrzywała, nie znając chwili spoczynku. Natura obdarzyła go obwisłą wargą i zbyt widocznym szeregiem żółtych, nierównych zębów, które na próżno usiłował ukryć, przesuwając co chwila dłońią po dolnej części twarzy. Pomimo wyraźnej łysiny robił wrażenie człowieka młodego i rzeczywiście skończył dopiero trzydzieści lat.

— Kłaniam się unieźnienie, miss Morstan — powtarzał ciekim, piskliwym głosem. — Kłaniam się unieźnienie, panowie! Proszę, niech państwo raczą wejść do mego małego sanktuarium. Nieduże ono, miss Morstan, ale urządzone w moim guście. Oaza sztuki na tej rozpaczliwej pustyni, jaką jest południowy Londyn.

Na widok pokoju, do którego nas tak zapraszał, stanęliśmy zdumieni. W tym ponurym, brudnym domu był on równie nie na miejscu, jak brylant pierwszej wody w mośiężnej oprawie. Ściany pokryte były bogatymi makatami o przepysznych barwach, tu i ówdzie udrapowanymi dokoła wspaniale oprawnego obrazu lub wschodniego wazonu. Podłogę zaścierał kobierzec o barwach żółtej i czarnej, tak miękkiej i puszystej, że nogi tonęły w nim jak we mchu. Dwie skóry tygrysa rzucone na dywan potęgowały jeszcze wrażenie panującego dokoła wschodniego zbytku. Srebrna lampa w kształcie gołębia zwieszała się na prawie niewidocznym złotym sznurze pośrodku pokoju, a pałac się, roznosiła woń subtelną i aromatyczną.

— Nazywam się Thaddeus Sholto — odezwał się znów mały jegomość, krzywiąc się i uśmiechając. — Pani oczywiście jest miss Morstan, a ci panowie...

— Sherlock Holmes, doktor Watson.

— Doktor, o! — zawołał wzruszony. — Ma pan przy sobie stetoskop? Mogę pana prosić... nie zechciałby pan łaskawie? Mam poważne wątpliwości co do moich zastawek sercowych, o aortę się nie boję, ale rad bym usłyszeć pańskie zdanie o zastawkach.

Przyłożyłem ucho do jego piersi, lecz nie mogłem dosłuchać się niczego, stwierdziłem tylko, że był w istnym paroksyzmie trwogi, bo drżał od stóp do głów.

— Serce jest zupełnie normalne — rzekłem. — Nie ma pan powodu do obaw.

<sup>15</sup>*sahib* — pan: tytuł stosowany przez rodzimych mieszkańców Indii kolonialnych w stosunku do Europejczyków. [przypis edytorski]

<sup>16</sup>*khitmutgar* — w brytyjskich kolonialnych Indiach: służący, szczególnie usługujący przy stole. [przypis edytorski]

— Pani wybaczy mój niepokój — rzekł, zwracając się do miss Morstan. — Jestem bardzo cierpiący i od dawna miałem podejrzenia co do serca. Szczęśliwy jestem, że są nieuzasadnione. Gdyby ojciec pani, miss Morstan, oszczędzał swoje serce, żyłby jeszcze.

Gotów byłem spoliczkować go, tak mnie oburzyło nielitościwe i brutalne odezwanie się. Miss Morstan usiadła. Twarz jej pokryła się śmiertelną bladością.

— Przeczuwałam, że nie żyje — rzekła zdławionym głosem.

— Mogę udzielić pani wszelkich informacji — podjął — a co więcej, mogę pani wynagrodzić wyrządzoną krzywdę. Mogę i chcę, bez względu na to, co powie mój brat Bartholomeus. Cieszę się bardzo, że pani przyszła z przyjaciółmi, nie tylko z uwagi na to, że pani towarzyszą jako eskorta, ale ponieważ będą świadkami tego, co uczynię i powiem. We trzech możemy śmiało stawić czoło memu bratu Bartholomeusowi. Nie chcę obcych... ani policji, ani urzędników. Możemy wszystko załatwić sami, bez niczyjej pomocy. Nic tak nie rozdrażni mego brata Bartholomeusa, jak rozgłos.

Usiadł na niskim stolku i bladoniebieskimi, małymi oczyma spoglądał na nas badawczo.

— Co do mnie — odezwał się Holmes — może pan być pewny, że cokolwiek pan powie, zachowam dyskrecję.

Skinąłem głową na znak, że również przystaję na ten warunek.

— Dobrze! Bardzo dobrze! — zawołał. — Mogę pani służyć kieliszkiem chianti<sup>17</sup>? A może pani woli tokaj<sup>18</sup>? Nie posiadam nic innego. Otworzyć butelkę? Nie?... Pozwoli mi pani zapalić? Jestem trochę zdenerwowany, a palenie bardzo mnie uspakaja.

W rogu na macie stały wielkie nargile<sup>19</sup>; pan Sholto zapalił je. Siedzieliśmy we troje półkołem, z głowami podanymi naprzód, podbródkiem wspartym na dłoni, a dziwaczny ruchliwy człowieczek o wysokiej, lśniącej czaszce, zajmujący miejsce pośrodku, niespokojnie puszczał kłęby dymu.

— Gdy już postanowiłem wszystko pani powiedzieć — zaczął wreszcie — powinienem był przesłać swój adres, obawiałem się jednak, że pani nie uwzględni mej prośby i przyprowadzi ze sobą jakichś niemiłych ludzi. Dlatego pozwoliłem sobie pokierować sprawę tak, aby mój służący, Williams, najpierw panią zobaczył. Ufam najzupełniej w jego dyskrecję, a miał rozkaz wycofania się, gdyby moje warunki nie zostały przez panią dotrzymane. Przepraszam za tę ostrożność, ale lubię spokój, a nie ma nic gorszego niż policjant. Mam wrodzony wstręt do brutalnego materializmu. Rzadko kiedy stykam się z tłumem. Żyję, jak pani widzi, w atmosferze pewnej elegancji. Uważam się za mecenausa sztuk pięknych. To moja słabość... Ten pejzaż to oryginalny Corot<sup>20</sup>, a jakkolwiek znawca zakwestionuje może autentyczność tego Salvatora Rosa<sup>21</sup>, mój Bouguereau<sup>22</sup> za to nie ulega wątpliwości. Jestem wielkim zwolennikiem nowoczesnej szkoły francuskiej.

— Niech mi pan wybaczy, panie Sholto — przerwała miss Morstan — ale przybyłam dlatego, że ma mi pan coś do powiedzenia. Już bardzo późno i chciałabym możliwie ograniczyć swój pobyt tutaj.

— Nawet w najlepszym razie musi nam to zabrać trochę czasu — odparł — bo będziemy musieli pojechać do Norwood do mego brata Bartholomeusa. Pojedziemy wszyscy i zobaczymy, czy mu damy radę. Okropnie jest zły, że postanowiłem postąpić, jak uznałem za słuszne. Pokłóciliśmy się nawet wczoraj wieczór. Nie macie państwo pojęcia, jaki on bywa straszny, gdy wpadnie w złość.

— Jeśli mamy jechać do Norwood, lepiej może zabrać się zaraz — ośmieliłem się zauważyć.

Sholto zaśmiał się serdecznie, aż mu uszy poczerwieniały.

<sup>17</sup> *chianti* — wytrawne, czerwone wino włoskie, produkowane w Toskanii. [przypis edytorski]

<sup>18</sup> *tokaj* — białe, deserowe wino węgierskie. [przypis edytorski]

<sup>19</sup> *nargile* — fajka wodna popularna w krajach Wschodu; rodzaj fajki, w której dym przechodzi przez napełnione wodą naczynie. [przypis edytorski]

<sup>20</sup> *Corot, Jean Baptiste Camille* (1796–1875) — malarz francuski, wybitny pejzażyista, wywarł znaczący wpływ na impresjonistów. [przypis edytorski]

<sup>21</sup> *Rosa, Salvator* (1615–1673) — malarz włoski, autor scen rodzajowych z pustelnikami i włóczęgami na tle dzikich, romantycznych krajobrazów; uważany za prekursora romantyzmu. [przypis edytorski]

<sup>22</sup> *Bouguereau, William Adolphe* (1825–1905) — malarz francuski, przedstawiciel akademizmu, autor wielkich kompozycji figuralnych o tematyce religijnej, mitologicznej i historycznej. [przypis edytorski]

— Ładnie byśmy wyglądali — zawołał. — Nie mam pojęcia, do czego brat Bartholomeus byłby zdolny, gdybym was tak nagle wprowadził. Nie, muszę państwa przygotować do tego spotkania i wyjaśnić wzajemny stosunek. Przede wszystkim uprzedzam, że w całej sprawie są i dla mnie strony zupełnie ciemne. Mogę państwu opowiedzieć tylko wiadome mi fakty.

Ojcem moim był, jak państwo zapewne się domyślają, major John Sholto, który służył niegdyś w armii indyjskiej. Przed jedenastu laty podał się do dymisji, a po powrocie do kraju zamieszkał tu, w Pondicherry Lodge w Upper Norwood. Zrobił majątek w Indiach i przywiózł znaczny kapitał, duży zbiór kosztownych osobliwości i służbę hinduską. Posiadając takie środki, kupił dom i żył otoczony zbytkiem. Brat Bartholomeus, mój bliźniak, i ja byliśmy jego jedynymi dziećmi.

Pamiętam doskonale sensację, jaką wywołało zniknięcie kapitana Morstana. Czytaliśmy skwapliwie wiadomości podawane przez gazety, a wiedząc, że był przyjacielem ojca, rozprawialiśmy z całą swobodą o tym wypadku w jego obecności, on zaś wtórował naszym domysłem i wnioskiem. Ani przez chwilę nie przypuszczaliśmy, że ukrywał w głębi duszy tajemnicę, że tylko on jeden wiedział, co się stało z Arturem Morstanem.

Wiedzieliśmy jednak, że jakieś tajemnicze niebezpieczeństwo wisi nad ojcem. Bał się wychodzić sam, a jako stróżów w Pondicherry Lodge zatrudnił dwóch zawodowych bokserów. Jednym był Williams, który was tu dziś przywiózł. To dawny mistrz Anglii w wadze lekkiej. Ojciec nigdy nie chciał nam powiedzieć, czego się właściwie obawiał, ale miał wyraźny wstręt do ludzi z drewnianą protezą zamiast nogi. Pewnego razu strzelił po prostu do człowieka, który miał drewnianą nogę, a był to, jak się później okazało, zwykły handlarz. Musieliśmy zapłacić znaczną sumę, aby zatuszować sprawę. Byliśmy przekonani, że ta obawa to tylko jakieś dziwactwo ojca, lecz on sam wyprowadził nas później z błędu.

Na początku roku 1882 ojciec otrzymał z Indii list, który zrobił na nim niesłychane wrażenie. Otworzywszy go przy śniadaniu, omal nie zemdlął i od dnia tego zaczął coraz bardziej podupadać na zdrowiu. Nigdy nie dowiedzieliśmy się, co zawierał ten list, ale dostrzegłem, że był krótki i pisany niewprawną ręką. Ojciec od wielu lat cierpiał na powiększenie śledziony, a teraz jego stan gwałtownie się pogorszył i pod koniec kwietnia zawiadomiono nas, że dogorywa i że chce nam przed śmiercią coś wyznać.

Gdy weszliśmy do pokoju, siedział podparty poduszkami, oddychając ciężko. Kazał nam zamknąć drzwi na klucz i stanąć po obu stronach łóżka. Następnie, chwyciwszy każdego z nas za rękę, głosem łamiącym się ze wzruszenia i cierpienia uczynił zdumiewające wyznanie. Postaram się powtórzyć jego własne słowa.

„Jedna rzecz tylko — mówił — ciąży mi na sumieniu w tej ostatniej chwili mego życia: sposób, w jaki postąpiłem z sierotą po biednym Morstanie. Pod wpływem przeklętej chciwości, która trawiła mnie całe życie, ukryłem przed nią skarb, który jej się należał przynajmniej w połowie. I sam jednak nie korzystałem z niego, zaślepiony, opętany przez skąpstwo. Uczucie posiadania było mi tak drogie, że nie mogłem znieść podzielenia się skarbem z kimkolwiek. Spójrzcie na ten sznur pereł obok buteleczki z chininą<sup>23</sup>: nawet z nim nie mogłem się rozstać, chociaż wyjąłem go z myślą posłania sierocie. Synowie moi, dajcie jej znaczną część skarbu z Agry<sup>24</sup>, ale póki żyję, nie posyłajcie jej nic, nawet tego sznura pereł. Zdarza się, że ludzie bywają śmiertelnie chorzy, jak ja, i powracają pomimo to do zdrowia.

Opowiem wam, w jaki sposób umarł Morstan — ciągnął dalej. — Od wielu lat był chory na serce, lecz ukrywał to przed wszystkimi, ja jeden wiedziałem o jego cierpieniu. Będąc w Indiach, doszliśmy dzięki niezwykłym okolicznościom do zdobycia znacznego majątku, który przywiozłem do Anglii, a Morstan po powrocie do kraju jeszcze tego samego wieczoru zgłosił się do mnie, żądając swej części skarbu. Przyszedł prosto z dworca kolejowego. Wpuścił go mój wierny, stary Lal Chowdar, który dziś już nie żyje. Gdy przyszło do podziału, poróżniliśmy się z Morstanem, wymieniliśmy ostre słowa. Morstan w pasji zerwał się z krzesła i nagle przycisnął dłoń do piersi. Jego twarz pokryła

List, Tajemnica, Choroba

Kłótnia, Śmierć

<sup>23</sup>chinina — lek przeciwmalaryczny w postaci białego, gorzkiego proszku, otrzymywany z kory chinowca. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>Agry — miasto w płn. Indiach, w stanie Uttar Pradesh; zdobyte w 1803 przez Brytyjczyków z Kompanii Wschodnioindyjskiej, w czasach kolonialnych stanowiło brytyjskie miasto garnizonowe. [przypis edytorski]



się śmiertelną bladością i padł na wznak, rozcinając głowę o kant skrzynki ze skarbem. Pochyliłem się nad nim i spostrzegłem z przerażeniem, że nie żyje.

Oszołomiony, na pół przytomny, siedziałem czas jakiś, rozmyślając, co począć. Zrazu, naturalnie, chciałem wezwać pomoc, ale szybko uprzytomniłem sobie, iż według wszelkiego prawdopodobieństwa zostanę oskarżony o morderstwo. Śmierć podczas kłótni i rana w głowie wystarczą za dowody obciążające. Podczas urzędowego śledztwa z pewnością wyszłyby na jaw pewne fakty dotyczące skarbu, a niezmiernie mi zależało na utrzymaniu go w tajemnicy. Morstan po przyjściu powiedział mi, że nikt nie wie, gdzie poszedł. Uznałem zatem, że nie ma potrzeby, aby ktokolwiek się o tym dowiedział.

Zajęty tymi myślami, podniosłem wzrok i ujrzałem w drzwiach mego służącego, Lal Chowdara. Wsunął się i zamknął drzwi na klucz. «Niech pan się nie obawia, *sahibie* — rzekł. — Nikt nie potrzebuje wiedzieć, że pan go zabił. Pochowamy go i kto się wtedy domyśli?» «Ale ja go nie zabiłem» — powiedziałem. Lal Chowdar potrząsnął głową i uśmiechnął się. «Słyszałem wszystko, *sahibie* — odparł — słyszałem kłótnię, słyszałem odgłos ciosu. Ale moje usta są zamknięte. Wszyscy śpią. Wyniesiemy go razem».

To wystarczyło, żebym się zdecydował. Jeśli własny służący nie uwierzył w moją niewinność, to jakże mogłem się łudzić, że jej dowiodę wobec dwunastu głupich kupców, zasiadających na ławie przysięgłych? Ukryłem tedy zwłoki przy pomocy Lal Chowdara, a w kilka dni później dzienniki pełne były wiadomości o tajemniczym zniknięciu kapitana Morstana. Jak widzicie, w tym przypadku nie można mnie tak bardzo potępiać. Moja wina polega na tym, że ukryliśmy nie tylko zwłoki, ale i skarb, i że... przywłaszczyłem sobie część będącą własnością Morstana... Chcę, abyście wynagrodzili tę krzywdę... Przysuńcie uszy do moich ust... Skarb ukryty został...»

W tej chwili w jego twarzy zaszła straszliwa zmiana: wytrzeszczone oczy spoglądały błędnym wzrokiem, szczeka mu opadła i wrzasnął głosem, którego nie zapomnę do końca życia: „Nie wpuszczajcie go! Na miłość boską, nie dajcie mu wejść!”

Zwróciliśmy się z bratem w kierunku okna, gdzie utkwiał obłąkany wzrok, i dostrzegliśmy wyraźnie wynurzającą się z ciemności czyjaś twarz, widzieliśmy nawet, jak zbieła nos, przyciśnięty do szyby. Twarz była okolona gęstym zarostem, malował się na niej wyraz zaciętej nienawiści, a oczy spoglądały okrutnie i dziko. Rzuciliśmy się z bratem ku drzwiom, ale nie znaleźliśmy już nikogo. Kiedy powróciliśmy, zastaliśmy ojca z opadłą na poduszki głową. Nie żył...

Przeszukaliśmy tej nocy cały ogród, lecz nie było nigdzie śladu intruza; pod oknem dostrzegliśmy odcisk stopy na klombie. Gdyby nie ten ślad, moglibyśmy przypuszczać, że straszna twarz była wytworem wyobraźni. Niebawem wszakże inny, jeszcze bardziej zdumiewający dowód wykazał, że otaczają nas jakieś tajemnicze siły. Następnego rana zastaliśmy okno do pokoju ojca otwarte, szafy i szuflady opróżnione, a na piersi nieboszczyka dostrzegliśmy przyklejoną kartkę z nabazgranymi w poprzek słowami: „Znak Czterech”.

Co miały znaczyć te słowa i kto był tym nocnym gościem, nie dowiedzieliśmy się nigdy. O ile mogliśmy stwierdzić, nic z rzeczy ojca nie skradziono, choć wszystko było porozrzucane. Obaj z bratem nie wątpiliśmy oczywiście, że ów niezwykły wypadek miał związek ze strachem, który całe życie prześladował naszego ojca. Jednak wszystko razem pozostało dla nas dotychczas głęboką tajemnicą.

Pan Sholto umilkł, zapalił ponownie nargile i dobrą chwilę puszczał w zamyśleniu kłęby dymu. Siedzieliśmy również zadumani, zastanawiając się nad jego opowieścią. Słuchając skąpych szczegółów o śmierci ojca, miss Morstan pobladła śmiertelnie i przez chwilę obawiałem się, że zemdleje. Nalałem jej szklanek wody z kryształowej karafki z weneckiego szkła, stojącej na małym stoliku, i podałem. Miss Morstan wypila i opanowała się.

Sherlock Holmes siedział rozparty wygodnie w fotelu, błyszczące oczy przykrył powiekami, a jego twarz wyrażała wielkie skupienie myśli. Thaddeus Sholto spoglądał na nas kolejno, dumny z wrażenia, jakie wywarła jego opowieść, a po chwili ciągnął dalej, pykając z ogromnej fajki:

— Domyślają się państwo — mówił — że byliśmy obaj z bratem wielce zaintrygowani myślą o skarbie, o którym wspominał ojciec. Tygodniami i miesiącami przetrząsaliśmy

dom, przekopywaliśmy ogród, jednak bez skutku. Oszaleć można było na myśl, że ojciec miał na ustach tę tajemnicę, gdy zaskoczył go zgon. O wartości ukrytych bogactw mogliśmy wnioskować z naszyjnika z pereł. Ten właśnie naszyjnik stał się powodem sprzeczki między mną a Bartholomeusem. Perły były wielkiej wartości, nie chciał się więc z nimi rozstać, gdyż, mówiąc między nami, brat odziedziczył poniekąd przywarę ojca. Sądził nadto, że jeśli oddamy perły, może to wywołać plotki i w końcu sprowadzić na nas nie-małe kłopoty. Nareszcie zdołałem go nakłonić, żeby mi pozwolił odnaleźć adres miss Morstan i posyłać jej perły po jednej, w pewnych odstępach czasu, tak żeby przynajmniej nigdy nie cierpiała biedy.

— Miał pan bardzo poczciwą myśl — rzekła poważnie nasza towarzyszka — dał pan dowód niezwykle dobrego serca...

Sholto machnął lekceważąco ręką.

— Moim zdaniem byliśmy po prostu opiekunami zarządzającymi pani majątkiem — rzekł — choć Bartholomeus nigdy się nie zgadzał na takie pojmowanie sprawy. Sami mieliśmy pieniądze pod dostatkiem. Ja więcej nie pragnąłem. A poza tym postępować w tak niegodny sposób z młodą damą byłoby w bardzo złym tonie. „*Le mauvais goût mène au crime*”<sup>25</sup>: Francuzi umieją tak elegancko wyrażać podobne rzeczy! Różnica naszych zdań w tej sprawie zaostriżyła się tak dalece, że uważałem za stosowne zamieszkać sam. Wyprowadziłem się tedy z Pondicherry Lodge, zabierając starego *kbitmutgara* i Williamsa. Wczoraj jednak dowiedziałem się, że zaszło zdarzenie wielkiej wagi. Skarb został odnaleziony! Porozumiałem się z miss Morstan i teraz pozostaje nam tylko jechać do Norwood i zażądać naszego udziału. Wczoraj wieczorem zawiadomiłem Bartholomeusa o swoich zamiarach, tak że będziemy tam oczekiwany, jeśli nawet niezbyt pożądanymi gośćmi.

Thaddeus Sholto znowu umilkł, a i my siedzieliśmy, nic nie mówiąc, zastanawiając się nad nowym zwrotem w tej tajemniczej sprawie. Holmes pierwszy zerwał się na równe nogi.

— Postąpił pan uczciwie od początku do końca — rzekł. — Może będziemy mogli odwdziżyć się panu poniekąd, wyświetlając jako tako szczegóły, które są dla pana jeszcze ciemne. Ale, jak miss Morstan słusznie przed chwilą zauważyła, jest późno i powinniśmy wyruszyć w drogę bez dalszej zwłoki.

Nowy znajomy zwinął starannie cybuch swych nargili i wyjął zza portiery długi, fałdzisty płaszcz z karakułowym kołnierzem i mankietami. Włożywszy płaszcz, zapiął go szczelnie i postawił kołnierza, pomimo że wieczór był parny, i dokończył stroju, kładąc na głowę futrzaną czapkę z kłapami na uszy, tak że z całej postaci widać było tylko jego ruchliwą, długą twarz.

— Jestem delikatnego zdrowia — zauważył, prowadząc nas przez korytarz — muszę się bardzo pilnować.

Dorożka czekała przed domem, a plan wycieczki był widocznie z góry ułożony, bo woźnica ruszył od razu z miejsca szybkim klusem. Thaddeus Sholto mówił bez przerwy, a jego piskliwy głos wznosił się ponad turkot kół.

— Bartholomeus to szczwany lis — wywodził. — Jak się państwu zdaje, w jaki sposób wpadł na to, gdzie jest ukryty skarb? Doszedł do wniosku, że jest gdzieś w domu. Przeszukał tedy wszystkie dziury w całym budynku, dokonał wszędzie pomiarów, nie pominąwszy ani jednego cala. Między innymi przekonał się, że wysokość budynku wynosiła siedemdziesiąt cztery stopy<sup>26</sup>, tymczasem kiedy dodał wysokości poszczególnych pięter i doliczył przestrzeń między podłogami a sufitami, której rozmiary stwierdził za pomocą świdra, nie mógł doliczyć się sumy większej niż siedemdziesiąt stóp. Brakło zatem czterech stóp, których jego zdaniem należało szukać jedynie pod dachem domu. Wyrąbał tedy otwór w suficie najwyższego pokoju i istotnie ponad nim znalazł maleńką izdebkę na poddaszu, opieczętowaną, nieznaną nikomu. Pośrodku, oparta na dwu belkach podłogi, stała skrzynka ze skarbem. Opuścił ją przez otwór i ma nareszcie u siebie. Bartholomeus ocenia wartość klejnotów co najmniej na pół miliona funtów szterlingów<sup>27</sup>.

<sup>25</sup>*Le mauvais goût mène au crime* (fr.) — Zły gust prowadzi do zbrodni. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>stopy — anglosaska miara długości wynosząca ok. 30,5 cm; 74 stopy to ok. 22,55 m. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>funt szterling — angielska jednostka monetarna; dawniej funt dzielił się na 20 szylingów po 12 pensów każdy. [przypis edytorski]

Usłyszawszy o tak olbrzymiej sumie, spojrzeliśmy po sobie szeroko otwartymi oczami. Miss Morstan zatem, gdybyśmy tylko zdołali udowodnić jej prawa, z ubogiej guwernantki stałaby się najbogatszą dziedziczką w Anglii. Oczywiście każdy przyjaciel, słysząc taką nowinę, miałby powód do niemałej radości. Jednak, wstyd mi wyznać, egoizm wziął u mnie górę, a serce zaciążyło w piersi ołowiem. Wyjąkałem kilka banalnych słów powinszowania i siedziałem przygnębiony, ze spuszczoną głową, głuchy na dalszą paplaninę naszego nowego znajomego.

Człowiek ten był najwyraźniej skończonym hipochondrykiem. Jak przez sen słyszałem, że wyliczał nieskończony szereg chorobliwych objawów i błagał o informacje co do składu i skutku przeróżnych specyfików, z których kilka nosił nawet przy sobie w skórzanym pudełku. Mam nadzieję, że nie zapamiętał ani jednej odpowiedzi, jakie mu dałem owego wieczora. Holmes zapewnia, że słyszał, jak ostrzegałem go, aby nie zażywał więcej niż dwie krople oleju rycynowego, gdyż to środek bardzo niebezpieczny, zalecałem natomiast strychninę<sup>28</sup> w wielkich dawkach jako środek uspokajający. W każdym razie ucieszyłem się, gdy dorożka szarpnęła nagle i stanęła, a woźnica zeszedł z kozła i otworzył drzwiczki.

— Miss Morstan, oto Pondicherry Lodge — rzekł Thaddeus Sholto, podając jej rękę przy wysiadaniu.

## V. TRAGEDIA W PONDICHERRY LODGE

Była już blisko jedenasta, gdy dotarliśmy do ostatecznego celu naszej wycieczki. Wilgotna mgła i wielka stolica pozostały za nami, noc wypogodziła się. Z zachodu wiał ciepły wiatr, ciężkie chmury snuły się wolno po niebie, a od czasu do czasu zza chmur wyzierał półksiężyc. Było dość jasno, ale mimo to Thaddeus Sholto wziął jedną z bocznych latarni dorożki, żeby lepiej oświetlić nam drogę.

Pondicherry Lodge stał na własnym obszernym gruncie, otoczonym bardzo wysokim kamiennym murem, zwieńczonym tłuczonym szkłem. Jedyne wejście stanowiły wąskie drzwi okute żelazem. Nasz przewodnik zastukał do drzwi w szczególny sposób.

— Kto tam? — odezwał się szorstki, niski głos z wewnątrz.

— To ja, McMurdo. Powinieneś już poznać moje stukanie.

Dobiegły nas mrukliwe dźwięki i zgrzyt klucza. Drzwi cofnęły się ciężko i ujrzeliśmy w nich krępego, barczystego człowieka o szerokiej piersi, z oświetloną żółtym blaskiem latarni, wysuniętą do przodu twarzą, który patrzył na nas badawczym, nieufnym wzrokiem.

— To pan Thaddeus? A reszta co za jedni? Mój pan nie wydał mi żadnych poleceń co do nich.

— Nie? Bardzo się dziwię! Powiedziałem bratu wczoraj wieczór, że przyprowadzę ze sobą kilku przyjaciół.

— Nie wychodził dzisiaj przez cały dzień z pokoju. Nie mam żadnych instrukcji, a wie pan dobrze, że muszę się trzymać rozkazów. Pana mogę wpuścić, ale pańscy przyjaciele muszą pozostać tam, gdzie stoją.

Była to zupełnie niespodziewana przeszkoda. Thaddeus Sholto spoglądał zaniepokojony, nie wiedząc, co począć.

— McMurdo, to brzydko z twojej strony! — rzekł. — Ja za nich rękę, powinno to wystarczyć. Patrz, jest z nami młoda dama. Przecież nie może stać na ulicy o tej godzinie.

— Bardzo mi przykro — odparł nieubłagany odźwierny. — Ci państwo mogą być pańskimi przyjaciółmi, co jeszcze nie dowodzi, że są przyjaciółmi mego pana. Dobrze mi płaci za spełnianie obowiązków, więc nie będę ich zaniedbywał. Nie znam żadnego z tych pańskich przyjaciół.

---

<sup>28</sup>strychnina — silnie toksyczna substancja uzyskiwana z nasion drzew tropikalnych, stosowana m.in. jako trutka na szczyry; powoduje skurcze mięśni i śmierć przez uduszenie; dawniej używana w medycynie w bardzo małych dawkach, zwykle w postaci azotanu, jako środek pobudzający w zaburzeniach krążenia i oddychania. [przypis edytorski]

— O, przeciwnie, McMurdo, znacie! — zawołał Sherlock Holmes wesoło. — Nie przypuszczam, żebyście mnie mogli zapomnieć. Nie pamiętacie amatora, który walczył z wami trzy rundy w wieczór waszego benefisu<sup>29</sup> u Alisona przed czterema laty?

— Co, czyżby pan Sherlock Holmes?! — ryknął bokser. — Dalibóg! Jakem ja mógł pana nie poznać? Gdyby pan zamiast stać spokojnie z daleka, podszedł był do mnie i machnął swoim sierpowym w szczękę, byłbym pana od razu poznał. O, pan się zmarował! Takie zdolności! Mógłby pan zejść bardzo daleko, gdyby je pan był wyzyskał.

— Widzisz, Watsonie, jak mi się już nic nie powie, zawsze jeszcze ten jeden zawód naukowy stoi przede mną otworem — rzekł, śmiejąc się, Holmes. — No, teraz mam nadzieję, nasz przyjaciel nie będzie nas trzymał na zimnie.

— Proszę wejść, proszę wejść... pan i pańscy przyjaciele. Przepraszam pana bardzo — zwrócił się do Thaddeusa — ale mam bardzo ściśle rozkazy... Musiałem się upewnić co do pańskich przyjaciół, zanim ich wpuściłem.

Kręta ścieżka posypana żwirem prowadziła przez pusty ogród do ogromnego, kwadratowego, pozbawionego wdzięku domu, który pogrążony był w cieniu. Blask księżycy padał na jeden róg i oświetlał jedno okno. Widok wielkiego gmachu, w którym panowała ciemność i śmiertelna cisza, sprawiał przygnębiające wrażenie. Nawet Thaddeus Sholto był widocznie rozdrażniony, bo latarnia drżała i chwiała się w jego ręku.

— Doprawdy, nie rozumiem — rzekł. — Prawdopodobnie zaszła jakaś pomyłka. Zapowiedziałem Bartholomeusowi wyraźnie, że przyjdziemy, a mimo to w jego oknie nie ma światła... Nie wiem, jak to sobie wytłumaczyć.

— Czy on zawsze w ten sposób pilnuje swojej posiadłości? — spytał Holmes.

— Tak, utrzymał zwyczaj ojca. Był jego ulubionym synem, widzi pan, i coś mi się zdaje, że ojciec zwierzył mu się z niejednej rzeczy, o której mnie nawet nie wspominał. Tam, gdzie pada światło księżycy, to okno Bartholomeusa. Jest dość jasno oświetlone, ale zdaje mi się, że światło wewnątrz się nie pali.

— Tak jest — potwierdził Holmes. — Ale widzę blask światła w tym okienku obok drzwi.

— To pokój gospodyni. Tam zawsze siedzi stara pani Bernstone. Wyjaśni nam wszystko. Ale może państwo poczekać tu parę minut, bo jeśli wejdziemy wszyscy razem, a ona nie została uprzedzona o naszym przyjeździe, może się przestraszyć. Ale... cicho! A to co?

Podniósł w górę latarnię, a ręka jego drżała tak silnie, że kręgi światła skakały dokoła nas zrygakowato. Miss Morstan chwyciła mnie za rękę i stanęliśmy wszyscy z zaporą oddechem i wyłożonym słuchem. Z wielkiego, czarnego gmachu, rozdzierając ciszę nocną, doleciał rozpaczliwie smutny i żalony dźwięk — łkanie przerażonej kobiety.

— To pani Bernstone — rzekł Shoho. — Prócz niej nie ma tu innej kobiety. Poczekajcie! Wróć za chwilę!

Pośpieszył do drzwi, zastukał w specjalny sposób i ujrzeliśmy wysoką, starą kobietę, która otworzywszy mu, krzyknęła z radości.

— Ach, pan Thaddeus! Jak dobrze, że pan przyszedł! Tak się cieszę, że pan przyszedł!

Słyszeliśmy, jak powtarzała raz jeszcze, że jest wielce uradowana, potem drzwi się zamknęły, a jej głos ścichł w nieuchwytnym już dla nas szepcie.

Przewodnik zostawił nam latarnię. Holmes powiódł nią z wolna dokoła i przyglądał się bystro domowi oraz wielkim stosom śmieci, sterczącym ze wszystkich stron. Miss Morstan i ja staliśmy obok siebie, jej dłoń spoczywała w mojej. Cudownie subtelną rzeczą jest miłość... Oto nas dwoje, którzy nie widzieliśmy się nigdy wcześniej, którzy nie zamieniliśmy ze sobą jednego czulego słówka ani spojrzenia, w godzinie trwogi stanęliśmy przy sobie, a dłonie nasze instynktownie szukały się wzajemnie. Później nieraz zastanawiałem się i zdumiewałem nad tym, ale w tamtej chwili wydało mi się to najnaturalniejszą rzeczą, ona zaś mówiła mi potem niejednokrotnie, że i jej instynkt nakazywał zwrócić się do mnie po pocieszenie i ochronę. Staliśmy tedy, trzymając się za ręce jak dwoje dzieci, a w naszych sercach panował błogi spokój pomimo ciemnej, tajemniczej atmosfery, jaka nas otaczała.

— Co za dziwne miejsce! — rzekła miss Morstan, rozglądając się dokoła.

<sup>29</sup>benefis — daw.: przedstawienie, z którego zyski były przeznaczone dla jednego z artystów; dziś: okolicznościowe przedstawienie a. koncert dla uhonorowania artysty lub zespołu, najczęściej z okazji jubileuszu. [przypis edytorski]

— Zdawałoby się, że wszystkie krety z całej Anglii urządziły tu najście. Widziałem coś podobnego na stoku wzgórza w pobliżu Ballaratu<sup>30</sup>, gdzie pracowali poszukiwacze złota.

— Przyczyna jest ta sama — rzekł Holmes. — Wszystko to są ślady poszukiwaczy skarbu. Nie zapominaj, że szukali go przez sześć lat. Nic dziwnego, że cały teren jest pełen dołów i nasypów.

W tejże chwili drzwi otworzyły się z hałasem i wypadł Thaddeus Sholto, z wyciągniętymi przed siebie rękoma i wyrazem przerażenia w oczach.

— Coś się stało Bartholomeusowi! — krzyknął. — Boję się! Moje nerwy, ach, moje nerwy!

Istotnie, był na pół przytomny ze strachu, a jego ruchliwa, blada twarz, wychylająca się z wielkiego karakułowego kołnierza, miała bezbronny, błagalny wyraz wystraszonego dziecka.

— Wejdźmy do domu — rzekł Holmes suchym, stanowczym tonem.

— O, tak, wejdźcie! — prosił Thaddeus Sholto. — Ja doprawdy nie czuję się na siłach dawać panom jakiegokolwiek wskazówki.

Poszliśmy za nim do pokoju gospodyni, położonego po lewej stronie korytarza. Stara kobieta chodziła niespokojnie, przerażona, załamując ręce, ale widok miss Morstan zdawał się mieć na nią kojący wpływ.

— Niech Bóg błogosławi pani słodką, spokojną twarzyczkę! — zawołała, histerycznie szlochając. — Na pani widok od razu czuję się lepiej. Och, co ja dziś miałam za dzień!

Nasza towarzyszka poklepała ją po chudej, spracowanej dłoni i szepnęła kilka miłych, kobiecych słów pocieszenia, które przywróciły rumieńce pobladłym policzkom gospodyni.

— Pan zamknął się na klucz i nie odpowiada na moje pukanie — wyjaśniła. — Przez cały dzień czekałam, żeby mnie wezwał, a że często lubi być sam, więc mnie to tak bardzo nie zdziwiło. Ale przed godziną zdjął mnie strach, że się coś stało, poszłam więc na górę i spojrzałam przez dziurkę od klucza. Pan Thaddeus musi pójść na górę... musi pan pójść i sam zobaczyć... Widywałam pana Bartholomeusa przez dziesięć lat w smutku i radości, ale z takim wyrazem twarzy nie widziałam go nigdy!

Sherlock Holmes wziął latarnię i poszedł naprzód. Thaddeus Sholto drżał cały i szczykał zębami. Był tak poruszony, że musiałem go wziąć pod rękę, bo nogi się pod nim uginały. Idąc po schodach, Holmes dwukrotnie wyjmował z kieszeni lupę i przyglądał się bacznie jakimś śladom, które mnie wydawały się zwyczajnymi plamami błota na macie z włókien kokosa, która pokrywała stopnie. Holmes wchodził wolno, stopień po stopniu, trzymał latarnię nisko i rozglądał się bystrym wzrokiem na prawo i lewo. Miss Morstan została z wylekłą gospodynią.

Trzeci bieg schodów wychodził na prosty, długi korytarz. Z prawej strony na ścianie wisiał wielki indyjski gobelin, w lewej ścianie było troje drzwi. Holmes szedł korytarzem w ten sam powolny sposób, rozglądając się bacznie, my zaś dążyliśmy tuż za nim, a długie czarne cienie włóczyły się po posadzce. Trzecie drzwi były celem, do którego zmierzaliśmy. Holmes zapukał, a nie otrzymawszy żadnej odpowiedzi, chwycił za klamkę, usiłując otworzyć drzwi. Były jednak zamknięte od wewnątrz, i to na szeroki, mocny rygiel, o ile mogliśmy dostrzec, oświetlając szparę. Klucz w zamku był trochę przekręcony w bok i nie zakrywał całkiem dziurki. Sherlock Holmes schylił się, zajrzał i natychmiast wstał, gwałtownie wciągając powietrze.

— Watsonie — rzekł wzburzony — to jakaś piekielna sprawa. Spójrz no, co o tym sądzisz?

Schyliłem się do dziurki i wnet cofnąłem się ze zgrozą. Blask księżycy padał do pokoju snopem tajemniczego, migocącego światła. Wpatrzona we mnie, zawieszona, jak się zdawało, w powietrzu — bo poniżej dokoła wszystko tonęło w cieniu — widniała twarz, twarz naszego towarzysza, Thaddeusa Sholto. Ta sama wysoka, łysa czaszka, to samo pasmo rudych włosów dokoła, ta sama blada cera. Rysy jednakże zastygły w strasznym uśmiechu, w potwornym skrzywieniu, które na tle tego cichego pokoju skąpanego w księżycowym blasku robiło nieopisane, wstrząsające wrażenie. Twarz ta była tak po-

Trup

<sup>30</sup>Ballarat — miasto w Australii w stanie Wiktoria, centrum gorączki złota w latach 50. XIX w. [przypis edytorski]



dobna do twarzy naszego nowego znajomego, że odwróciłem się, aby się upewnić, czy jest on istotnie z nami. W tej chwili przypomniałem sobie, że byli bliźniętami.

— Okropne! — rzekłem do Holmesa. — Co tu począć?

— Trzeba wyważyć drzwi! — odparł i rzucił się całym ciężarem na zamek.

Zatrzeszczał, zgrzytnął, ale nie uległ. Zabraliśmy się więc wspólnymi siłami. Tym razem drzwi ustąpiły z nagłym trzaskiem i znaleźliśmy się w pokoju Bartholomeusa Sholto.

Pokój urządzony był jak pracownia chemiczna. Na ścianie na wprost drzwi wisiała półka, a na niej dwoma rzędami stały różnej wielkości butelki, stół zaś zarzucony był palnikami Bunsena<sup>31</sup>, probówkami i retortami. W rogach stały gąsiory z kwasami oplecione łożyną. Jeden pękł widocznie, bo płynął z niego strumień ciemnej cieczy, a w powietrzu unosiła się ostra woń przypominająca odór dziegciu<sup>32</sup>. W jednym kącie wśród stosu gruzów i tynku stały przenośne schodki, a nad nimi znajdował się w suficie otwór wystarczająco duży, by swobodnie mógł się przez niego przedostać dorosły mężczyzna. Przed schodkami leżał niedbale rzucony długi zwój liny.

Przy stole, w drewnianym fotelu, siedział pan domu, skulony, z głową opuszczoną na lewe ramię, o twarzy zastygłej w strasznym, niezrozumiałym uśmiechu. Był sztywny i zimny. Nie żył widocznie już od kilku godzin. Zdawało mi się, że nie tylko rysy jego oblicza, ale wszystkie członki postaci były powykrzywiane i powykręcane w fantastyczny sposób. Obok jego spoczywającej na stole dłoni leżało szczególne narzędzie — ciemny kij z twardego drewna z kamienną główką w kształcie młotka, niedbale przywiązana sznurkiem. Obok leżała kartka papieru, a na niej nabazgrane kilka słów. Holmes spojrzął i podał mi kartkę.

— Patrz — rzekł znaczącym tonem.

Przy świetle latarni odczytałem ze zgrozą: „Znak Czterech”.

— Na miłość boską, co to wszystko znaczy? — spytałem.

— Popelniono morderstwo — odparł, pochylając się nad ciałem. — Aha, spodziewałem się tego! Spójrz!

Wskazywał coś, co wyglądało jak długi, czarny cierń, wbity w skórę tuż nad uchem.

— Wygląda jak cierń — rzekłem.

— Bo też jest to cierń. Możesz go wyjąć, ale uważaj... zatruty!

Uchwyciłem go dwoma palcami i wydobyłem z taką łatwością, że pozostawił tylko prawie niewidoczny ślad w postaci maleńkiego ukłucia.

— Wszystko to jest dla mnie nieprzeniknioną tajemnicą — rzekłem. — Zamiast się wyjaśniać sprawa zaciemnia się coraz bardziej.

Od chwili wejścia do pokoju zapomnieliśmy zupełnie o towarzyszu. Stał w drzwiach, istny obraz rozpacz, załamując ręce i zawodząc. Nagle krzyknął przeraźliwie.

— Skarb znikł! — zawołał. — Okradli go ze skarbu! To otwór, przez który spuszcza-  
liśmy skrzynkę. Pomagałem mu! Byłem ostatnią osobą, która go widziała!... Zostawiłem go tu wczoraj wieczorem, a schodząc ze schodów, słyszałem, jak zamykał drzwi na klucz...

— O której godzinie?

— O dziesiątej... Teraz nie żyje, przyjdzie policja i będę podejrzany, że przyłożyłem rękę do zabójstwa... Tak, jestem pewny, że mnie posądzą. Ale panowie mnie przecież nie podejrzewają? Panowie nie myślą, że to ja? Czyż sprowadzałbym panów tutaj, gdybym to zrobił? O Boże, Boże! Ja chyba oszaleję!

Wymachiwał rękami i tupał nogami jak w nieokiełznanym szale.

— Nie ma pan żadnego powodu do obaw, panie Sholto — rzekł Holmes łagodnie, kładąc mu dłoń na ramieniu. — Proszę posłuchać mojej rady: niech pan jedzie na posterunek i zgłosi sprawę policji. Niech im pan zaproponuje wszelką pomoc. Zaczekamy, póki pan nie wróci.

<sup>31</sup>palnik Bunsena — rodzaj palnika laboratoryjnego, składającego się z podstawki, w którą jest wmontowany wlot gazu, oraz prostej, pionowej rury (dyszy) posiadającej u dołu otwory, przez które zasysane jest powietrze; zamykanie i otwieranie otworów umożliwił ruchomy pierścień umocowany na dyszy, co służy regulacji ilości zasysanego powietrza, a w związku z tym również temperatury płomienia; palnik zastosowano po raz pierwszy w laboratorium Roberta Bunsena w połowie lat 50 XIX w. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>dziegieć — gęsta, smolista substancja o charakterystycznym, przykrym zapachu, wytwarzana przez suchą destylację kory i drewna, używana do celów leczniczych oraz do impregnacji materiałów, uszczelniania beczek, jako smar, klej itp. [przypis edytorski]

Trup

Kradzież

Nieborak posłuchał, poszedł na pół przytomny i niebawem usłyszeliśmy, jak potykał się na ciemnych schodach.

## VI. SHERLOCK HOLMES DZIAŁA

— Watsonie — odezwał się Holmes, zacierając dłonie — mamy pół godziny dla siebie. Zróbmy z tego dobry użytek. Jak ci powiedziałem, prawie rozwikłałem już sprawę, nie wolno nam jednak pobłądzić wskutek nadmiernej pewności siebie. Choć sprawa wydaje się teraz prosta, głębiej może kryć się coś jeszcze.

— Prosta! — wykrzyknąłem.

— Oczywiście — odparł tonem profesora w czasie wykładu klinicznego. — Usiądź tam, w kącie, żeby ślady twoich kroków nie utrudniły poszukiwań. A teraz do roboty! Przede wszystkim, jak oni weszli i którędy wyszli? Drzwi nie były otwierane od wczoraj wieczór. Obejrzyjmy okno.

Wziął latarnię i podszedł do okna, robiąc głośno uwagi, lecz raczej do siebie samego niż do mnie.

— Okno zamykane jest od wewnątrz. Rama mocna. Z tamtej strony nie ma zawiasów. Otwórzmy. Rynny nigdzie blisko nie ma. Dach za wysoko. A jednak ktoś wszedł oknem. Wczorajszej nocy padał deszcz. Na parapecie jest ślad zablokowanej stopy. A tu okrągła plama błota... o i tu, na posadzce, tu przy stole! Spójrz, Watsonie! To naprawdę ciekawe wskazówki...

Przyglądałem się okrągłym, wyraźnym plamom.

— To nie są ślady stopy — rzekłem.

— To coś znacznego dla nas cenniejszego. To odcisk drewnianej protezy. Patrz, tu na parapecie mamy ślad buta, ciężkiego buta z metalowym podkuciem, a obok odcisk grubej drewnianej pałki.

— Już wiem!... Człowiek o drewnianej nodze!

— Właśnie! Ale był tu jeszcze ktoś inny... jakiś zręczny pomocnik. Mógłbyś wdrapać się na ten mur, doktorze?

Wyjrzałem przez okno. Jasny blask księżyca padał jeszcze na ten właśnie róg domu. Staliśmy na wysokości sześćdziesięciu stóp nad ziemią, a gdzie spojrzałem, nigdzie nie mogłem dostrzec nie tylko oparcia dla stopy, ale nawet najmniejszej szpary w murze.

— Stanowczo niemożliwie — odparłem.

— Niemożliwe bez pomocy. Ale przypuśćmy, że miałbyś tu na górze sprzymierzeńca, który opuściłby mocną linę... leżącą tam w kącie, przywiązawszy drugi jej koniec do tego wielkiego haka w ścianie. W takim razie, o ile sądzę, mógłbyś wdrapać się tu, choćbyś miał drewnianą nogę. Wyszedłbyś, oczywiście, w ten sam sposób, a pomocnik wciągnąłby na powrót linę, odwiązał ją z haka, zamknął okno i opuścił pokój w ten sam sposób, w jaki się do niego dostał. Zaznaczyć muszę — dodał, wskazując linę — że nasz jegomość z drewnianą nogą, jakkolwiek zręczny gimnastyk, nie jest marynarzem. Dłonie ma delikatne. Dostrzegłem przez lupę niejedną krwawą plamę na linie, zwłaszcza ku końcowi, skąd wnoszę, że spuszczał się z taką szybkością, iż pościerał sobie z dłoni naskórek.

— Bardzo pięknie — rzekłem — ale to sprawy nie wyjaśnia; przeciwnie, wikła ją tylko. Kim był ten tajemniczy pomocnik? W jaki sposób dostał się do tego pokoju?

— Tak, ten pomocnik! — powtórzył Holmes w zamyśleniu. — Ten pomocnik jest bardzo ciekawy! Dzięki niemu cała sprawa przestaje być banalna. Wydaje mi się, że ten sprzymierzeniec otwiera nowy rozdział w historii zbrodni w naszym kraju, chociaż podobne przypadki zdarzały się w Indiach i, jeśli mnie pamięć nie myli, w Senegambii<sup>33</sup>.

— Ale którędy wszedł? — spytałem. — Drzwi były zamknięte, okno jest niedostępne. Przez kominek?

— Otwór jest znacznie za mały — odpowiedział Holmes. — Rozważałem już tę możliwość.

— Którędy więc? — nalegałem.

— Nie chcesz zastosować mojej metody — rzekł, potrząsając głową. — Ile razy powtarzałem ci, że po wyłączeniu rzeczy niemożliwych, to, co pozostanie, chociaż nie-

<sup>33</sup>Senegambia — historyczna nazwa regionu geograficznego w Afryce Zachodniej, między rzeką Senegal na północy a rzeką Gambia na południu; w XVIII w. nazwa brytyjskiej kolonii na tych terenach. [przypis edytorski]

prawdopodobne, musi być prawdziwe! Wiemy, że morderca nie wszedł ani drzwiami, ani oknem, ani przez kominek. Wiemy też, że nie mógł być ukryty w pokoju, bo ukryć się tu niepodobna. Którędy zatem wszedł?

— Przez otwór w suficie!

— Ma się rozumieć! Tylko tamtędy. Potrzymaj latarnię, to zajrzemy do izdebki na górze... do tajemniczej izdebki, w której znaleziono skarb.

Wszedł na schodki, a chwyciwszy się oburącz belki stropu, wskoczył na poddasze. Po czym, leżąc na brzuchu, wyciągnął rękę po latarnię, ja zaś wskoczyłem za nim.

Izdebka, w której się znaleźliśmy, miała około dziesięciu stóp na sześć. Podłogę tworzyły belki stropowe, na które położono cienkie, pokryte tynkiem deski, tak że idąc, trzeba było stawiać kroki od belki do belki. Mebli żadnych, wszędzie zalegała gruba warstwa kurzu, nagromadzonego z biegiem lat.

— Patrz, widzisz — rzekł Holmes, kładąc rękę na pochyłej ścianie — tu jest kłapa prowadząca na dach. Mogę ją otworzyć... a oto dach, spadzisty wprawdzie, ale nie stromy. Tą drogą zatem wszedł Numer Jeden. Zobaczymy, czy znajdziemy jeszcze jakieś inne ślady jego obecności.

Zbliżył latarnię do podłogi i dostrzegłem wówczas po raz drugi w ciągu tej nocy wyraz zdumienia na jego obliczu. Spojrzałem w kierunku jego wzroku i zimny dreszcz wstrząsnął mną od stóp do głowy. Podłogę pokrywały ślady bosych stóp — bardzo kształtnych, ale o połowę mniejszych od stóp przeciętnego mężczyzny.

— Holmesie — wyszeptalem z trudem — sprawcą tego ohydneho czynu jest... dziecko.

Holmes zapanował już nad sobą.

— Miałem chwilę wahania i niepewności — rzekł — ale to rzecz zupełnie naturalna. Pamięć mnie zawiodła, inaczej byłbym mógł to przepowiedzieć. Niczego więcej się tu nie dowiemy. Zejdźmy.

— Cóż myślisz o tych śladach? — spytałem skwapliwie, gdy znaleźliśmy się w pokoju.

— Drogi Watsonie, spróbuj sam trochę pomyśleć, poszukaj — odparł z pewnym zniecierpliwieniem. — Znasz moją metodę. Zastosuj ją, a porównanie naszych wniosków będzie pouczające.

— Nie mogę sobie wyobrazić okoliczności, które by odpowiadały tym faktom.

— Niebawem zrozumiesz wszystko. Zdaje się, że tu nie ma już nic ważnego, ale zobaczę jeszcze.

Wydobył lupę i kieszonkową taśmę mierniczą, następnie zaczął przemierzać pokój na kolanach, mierząc, porównując, badając. Zaledwie kilka cali dzieliło jego długi, cienki nos od posadzki, a jego niewielkie, osadzone głęboko, ptasie oczy iskrzyły się i promieniowały. Ruchy miał tak szybkie, ciche i zwinne, że nie mogłem oprzeć się myśli, jak straszny byłby z niego przestępca, gdyby swoją energię i bystrość zwrócił był przeciw prawu, zamiast użytkować je na jego obronę! Śledząc i tropiąc, szeptał coś do siebie, w końcu zaś wydał głośny okrzyk radości.

— Szczęście sprzyja nam, kapitalnie! Teraz będziemy mieli już niewiele kłopotu. Numer Jeden na swe nieszczęście wdepnął w kreozot<sup>34</sup>. Można wyraźnie dostrzec ślad jego drobnej stopy tu, obok tego cuchnącego strumienia. Gąsior pękł, jak widzisz, i kreozot się wylał.

— I cóż z tego? — spytałem.

— Mamy go, i koniec — odparł Holmes. — Znam psa, który poleciałby za śladem tej woni na koniec świata. Ale oto i urzędowi przedstawiciele prawa.

Z dołu doleciał odgłos ciężkich kroków i dźwięk głosów; drzwi frontowe zamknęły się z trzaskiem.

— Zanim tu wejda — odezwał się Holmes — przyłóż dłoń do ramienia i do nogi tego nieboraka. Co czujesz?

— Mięśnie twarde jak kamień — odpowiedziałem.

Zbrodnia, Trucizna

<sup>34</sup>kreozot — składnik smoły drzewnej: oleista ciecz o charakterystycznym zapachu, będąca produktem suchej destylacji drewna. [przypis edytorski]

— Właśnie! Są w stanie skrajnego skurczu, znacznie przewyższającego zwykły *rigor mortis*<sup>35</sup>. W połączeniu z wykrzywieniem twarzy, tym hipokratesowym uśmiechem, czyli „*risus sardonius*”<sup>36</sup>, jak go nazywali pisarze starożytni, jakż nasuwa ci to wniosek?

— Śmierć spowodowaną silnym roślinnym alkaloidem<sup>37</sup> — odrzekłem — substancją zbliżoną do strychniny, wywołującą tężec.

— Ta sama myśl przyszła mi do głowy, jak tylko spostrzegłem skurcz mięśni twarzy. Zacząłem od razu szukać drogi, którą trucizna dostała się do organizmu tego człowieka. Jak widziałeś, znalazłem cierń, z niezbyt wielką siłą wbity lub wystrzelony w skórę głowy. Zauważ, że cierń trafił w tę część głowy, która byłaby zwrócona w stronę otworu w suficie, jeśli ten człowiek w fotelu siedział wyprostowany. A teraz obejrzyj cierń.

Wzięłem go ostrożnie do ręki i przybliżyłem do światła latarni. Był długi, ostry i czarny, a jego czubek lśnił, jak gdyby zastępnym na nim jakiś lepki płyn. Tępy koniec został zastrugany i wyrównany nożem.

— Czy to cierń pochodzenia angielskiego? — spytał Holmes.

— Stanowczo nie.

— Mając te wszystkie dane, mógłbyś już wysnuć trafny wniosek. Ale oto i regularne wojsko, więc siły ochotnicze muszą się wycofać.

Z korytarza dobiegł odgłos zbliżających się kroków, po czym postawny, tęgi mężczyzna w szarym garniturze wszedł ciężko do pokoju. Miał dużą, czerwoną twarz i małe oczy, spoglądające bystro spod obrzękłych, mrugających powiek. Tuż za nim szedł umundurowany policjant i drżący jeszcze Thaddeus Sholto.

— Oho, będzie robota! — rzekł głosem ochrypłym przedstawiciel władzy. — Będzie ładna robota! Ale co to za ludzie? Cóż to, dom pełen... jak królikarnia!

— Sądzę, że mnie pan pamięta, panie Athelney Jones — odezwał się Holmes spokojnie.

— Naturalnie, ma się rozumieć! — odparł, sapiąc. — Pan Sherlock Holmes, teoretyk! Czy ja pana pamiętam?! Ależ nigdy nie zapomnę, jakie pan nam wszystkim palnął kazanie o przyczynach, wnioskach i skutkach w sprawie klejnotów z Bishopsgate<sup>38</sup>. Prawda, naprowadził nas pan na właściwy ślad, ale przyzna pan teraz, że był to po prostu szczęśliwy zbieg okoliczności.

— Był to wynik prostego rozumowania.

— No, no, można się przyznać, nie ma się czego wstydzic! Ale co się tu stało? Hm, kiepska sprawa! Kiepska sprawa! Fakty niezaprzeczone... tu teoria na nic! Jakie szczęście, że wyjeżdżałem właśnie do Norwood w innej sprawie! Byłem na stacji, gdy nadeszła wiadomość. Jak pan myśli, co było przyczyną śmierci tego człowieka?

— Ten wypadek nie nadaje się do rozumowania, tu teoria na nic! — rzekł Holmes sucho.

— Nie, nie! Nie mogę zaprzeczyć, że pan czasem trafia w sedno. Och, Boże!... Drzwi zamknięte, rozumiem. Skradzione kosztowności wartości pół miliona! A co z oknem?

— Było zamknięte, ale są ślady kroków na parapecie.

— Dobrze, dobrze... jeśli było zamknięte, ślady kroków nie mogą mieć z tym nic wspólnego. Ten człowiek mógł umrzeć na apopleksję<sup>39</sup>... ale kosztowności nie ma. Aha, rozumiem!... Takie błyski zdarzają mi się czasami. Proszę nas zostawić samych, sierżancie i pan, panie Sholto... pański przyjaciel może zostać... Panie Holmes, Sholto przyznał się, że był wczoraj u brata. Brat skonał, rażony apopleksją, a Sholto wyniósł się ze skarbem. No, jak się panu taka teoria podoba?

— A nieboszczyk z całym spokojem wstał i zamknął drzwi od wewnątrz...

— Hm! To słaby punkt. Rozważmy wszystko kolejno. Thaddeus był u brata, urządzili kłótnię, to wiemy na pewno. Brat nie żyje, a klejnoty zniknęły. To wiemy również. Nikt nie widział brata od chwili, kiedy Thaddeus go opuścił. Łóżko jest nienaruszone, nikt

<sup>35</sup>*rigor mortis* (łac., med.) — stężenie pośmiertne. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>*risus sardonius* (łac., med.) — dosł.: uśmiech sardoniczny (pojawiający się w wyniku porażenia nerwów twarzy przez truciznę). [przypis edytorski]

<sup>37</sup>*alkaloidy* — grupa naturalnie występujących związków organicznych, głównie pochodzenia roślinnego, wykazujących zwykle silne, nieraz trujące działanie na organizm człowieka. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>*Bishopsgate* — jeden z okręgów w londyńskim City; także nazwa ulicy w tym okręgu. [przypis edytorski]

<sup>39</sup>*apopleksja* — nagły wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

w nim nie spał. Thaddeus jest najwyraźniej bardzo wzburzony. Powierzchność ma, że tak powiem, niezbyt pociągającą. Jak pan widzi, snuję swoją pajęczynę dokoła Thaddeusa. Sieć zacieśnia się coraz bardziej...

— Nie zna pan jeszcze wszystkich faktów — rzekł Holmes. — Ten oto cierń, który moim zdaniem jest zatruty, tkwił w głowie nieboszczyka, o, tu, gdzie widać jeszcze ślad ukłucia. Kartka z tym oto napisem leżała na stole, a obok to dziwaczne narzędzie. Jakże to wszystko zgadza się z pańską teorią?

— Potwierdza ją pod każdym względem — odparł uroczyście otyły policjant. — Dom jest pełen indyjskich osobliwości. Thaddeus więc przyniósł to, a jeśli drzazga jest zatruta, mógł jej użyć do zbrodniczych celów równie dobrze, jak kto inny. Kartka to sztuczka dla zmylenia śladów. Pytanie tylko, w jaki sposób Thaddeus stąd wyszedł? Aha, naturalnie, jest otwór w suficie.

Z dużą zwinnością jak na swą pokaźną tuszę Athelney Jones wskoczył na schodki i przecisnął się na poddasze, skąd niebawem usłyszeliśmy triumfalną nowinę, że znalazł wyjście na dach.

— On może nawet tam coś wykryć — zauważył Holmes, wzruszając ramionami — miewia niekiedy przebłycki rozsądku. „*Il n'y a pas des sots si incommodes que ceux qui ont de l'esprit!*”<sup>40</sup>.

— A widzi pan! — zawołał Athelney Jones, ukazując się znów na schodkach. — Fakty są jednak lepsze od teorii. Mój pogląd na sprawę potwierdza się. Na poddaszu jest kłapa prowadząca na dach, i to niedomknięta.

— Ja ją otworzyłem.

— O... doprawdy?! Więc pan ją zauważył? — Był widocznie niezadowolony z tego odkrycia. — Zresztą, mniejsza o to, kto ją zauważył, faktem jest, że świadczy, któregoś ulotnił się nasz jegomość. Sierzancie!

— Jestem — odezwał się głos z korytarza.

— Poproś tu pana Sholto... Panie Sholto, moim obowiązkiem jest przestrzec pana, że cokolwiek pan powie, może zostać użyte przeciwko panu. Aresztuję pana w imieniu Królowej jako podejrzanego w sprawie śmierci brata.

— A co! Nie mówiłem? — krzyknął nieborak, załamując ręce i spoglądając na nas kolejno.

— Niech się pan tym nie martwi, panie Sholto — rzekł Holmes. — Sądzę, że mogę uwolnić pana od tego podejrzenia.

— Niech pan nie przyrzeka za dużo, panie teoretyku, niech pan nie przyrzeka za dużo! — sapał detektyw. — Dotrzymanie obietnicy będzie może trudniejsze, niż się panu wydaje.

— Nie tylko uwolnię go, panie Jones, ale nadto podam panu na deser nazwisko i rysopis jednego z dwóch ludzi, którzy tu byli ubiegłej nocy. Mam wszelkie dane, by sądzić, że nazywa się Jonathan Small. Jest to człowiek o niskim poziomie umysłowym, mały, żywy, brak mu prawej nogi, chodzi o drewnianej kuli, bardzo już zużytej od strony wewnętrznej. Jego but ma grubą podeszwę ze ściętym nosem i żelazną podkówkę wokół obcasa. To człowiek w średnim wieku, ogorzały, siedział już w więzieniu. Wskazówki te mogą się panu przydać. Dodam jeszcze, że ów Small ma starty naskórek z dłoni. Drugi...

— Aha... drugi? — spytał Athelney Jones drwiąco, chociaż widziałem dobrze, iż pewność siebie, z jaką mówił Holmes, zrobiła na nim wrażenie.

— To osobliwy jegomość — odparł Sherlock Holmes, wykręcając się na pięcie. — Mam nadzieję, że wkrótce będę mógł przedstawić pana jednemu i drugiemu. Watsonie, proszę cię na słówko.

Wyprowadził mnie na schody.

— Ta niespodziewana przygoda — rzekł — sprawiła, że zapomnieliśmy o pierwotnym celu podróży.

— Właśnie to samo myślałem — odparłem. — Miss Morstan nie powinna tu dłużej siedzieć.

<sup>40</sup>*Il n'y a pas des sots si incommodes que ceux qui ont de l'esprit!* (fr.) — Nie ma bardziej nieznośnych głupców niż inteligentni głupcy (François de La Rochefoucauld, *Maksymy i rozważania moralne*). [przypis edytorski]



— Tak. Musisz ją odwieźć do domu. Mieszka u pani Forrester w Lower Chamberwell, zatem niedaleko. Poczekam tu na ciebie, jeśli raczysz jeszcze wrócić. A może jesteś trochę zmęczony?

— Bynajmniej. Nie spocznę, póki nie dowiem się dalszych szczegółów tej fantastycznej sprawy. Chociaż niesłychane niespodzianki dzisiejszej nocy stargały mi do szczytu nerwy, niemniej chciałbym sprawę przeprowadzić z tobą do końca.

— Twoja obecność będzie mi wielką pomocą — odparł. — My sobie poprowadzimy sprawę na własną rękę, a temu Jonesowi pozwolimy tworzyć kombinacje, jakie tylko zechce. Gdy już odwiesz miss Morstan, chciałbym, żebyś wstąpił pod numer trzeci na Pinchin Lane<sup>41</sup>, tuż brzegu rzeki w Lambeth<sup>42</sup>. Trzeci dom po prawej stronie jest własnością wypychacza ptaków nazwiskiem Sherman. W oknie zobaczysz łasicę trzymającą małego królika. Zastukaj, wywołaj Shermana, kłaniaj mu się ode mnie i powiedz, że potrzebny mi jest niezwłocznie Toby. Przywiesz go ze sobą dorożką.

— Domyślam się, że to pies.

— Tak, ordynarny kundel, mieszaniec, obdarzony zdumiewającym węchem. Wolę mieć do pomocy Toby'ego niż cały zastęp policji londyńskiej.

— Przywiozę go — odparłem. — Teraz jest pierwsza. Jeśli dostanę gdzieś świeżego konia, mogę być z powrotem przed trzecią.

— A ja — rzekł Holmes — zobaczę, czego zdołam dowiedzieć się od pani Bernstone i hinduskiego służącego, który, jak twierdzi pan Thaddeus, sypia na poddaszu. Potem przestudiuję metody wielkiego Jonesa i posłucham jego niezbyt subtelnych sarkazmów. „*Wir sind gewohnt das die Menschen verbönnen was sie nicht verstehen*”<sup>43</sup>. Goethe jest zawsze jędrny i dobitny.

## VII. PRYZGODA Z BECZKĄ

Policjanci przyjechali dorożką, którą teraz odwiozłem miss Morstan do domu. Zwyczajem kobiet o anielskim usposobieniu zносиła ona wszystko na pozór spokojnie, póki musiała dodawać otuchy istocie słabszej. Przy przerażonej gospodyni zastałem ją więc pogodną i zrównoważoną. Skoro tylko jednak znalazła się w dorożce, prawie zemdląła, zaś w chwilę później wybuchnęła spazmatycznym płaczem, tak bardzo wstrząsnęły nią nocne przygody. Powiedziała mi później, że podczas tej jazdy uważała mnie za człowieka zimnego, nieczulego. Nie domyślała się nawet, jaka walka wrzała w mej piersi, jakim wysiłkiem woli hamowałem uczucia.

Moje serce rwało się do niej, tak jak w ogrodzie moja dłoń do jej dłoni. Czulem, że przez całe lata konwencjonalnego stosunku towarzyskiego nie poznałbym tak dokładnie jej słodkiej, męznej natury, jak w ciągu tego jednego dnia, pełnego niezwykłych wydarzeń. Jednak dwie przyczyny zatrzymywały na mych ustach słowa miłości. Była słaba i bezbronna, wstrząśnięta do głębi i popełniłbym wprost nadużycie, korzystając z takiej chwili, by jej narzucać swą miłość. Nadto, co jeszcze gorzej, będzie bogata. Jeżeli poszukiwania Holmesa zostaną uwieńczone pomyślnym skutkiem, odziedziczy wielką fortunę. Czy to uczciwie zatem, by żyjący z pensyjki chirurg wyzyskał poufale zbliżenie, które zawdzięcza jedynie przypadkowi? Czy nie będzie na mnie patrzyła jak na pospolitego łowcę posagów? Nie mogłem narazić się na podobne podejrzenie z jej strony. Skarb Agry stanął między nami jak nieprzekraczalna przeszkoda.

Była blisko druga, gdy przybyliśmy do pani Forrester. Służba spała już od dawna, ale pani Forrester była tak zaintrygowana niezwykłym wezwaniem, jakie otrzymała miss Morstan, że czekała na jej powrót. Sama otworzyła nam drzwi. Z przyjemnością patrzyłem, jak ta kobieta w średnim wieku, bardzo jeszcze przystojna, tkliwie otoczyła ramieniem kibić przybyłej i witała ją z macierzyńską czułością. Miss Morstan przedstawiła mnie, a pani Forrester poprosiła, bym wszedł i opowiedział nasze przygody. Wyjaśniłem

Miłość, Bogactwo, Bieda

<sup>41</sup>*Pinchin Lane* — fikcyjna ulica w Londynie; kiedy w 1889 na Pinchin Street znaleziono okaleczone zwłoki kobiety, zbrodnię tę przypisywano seryjnemu mordercy Kubię Rozpruwaczowi, który grasował rok wcześniej. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>*Lambeth* — dzielnica południowej części Londynu. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>*Wir sind gewohnt das die Menschen verbönnen was sie nicht verstehen* (niem.) — Jesteśmy przyzwyczajeni do ludzi, którzy kpią z rzeczy, których nie rozumieją (Goethe, *Faust*, część pierwsza, scena w pracowni). [przypis edytorski]

jednak, że mam jeszcze spełnić bardzo ważne polecenie i przyrzekłem święcie, że przyjdę i doniosę o wszelkich nowych odkryciach, jakie w sprawie tej poczynimy. Odjeżdżając, rzuciłem jeszcze spojrzenie za siebie i wciąż zdaje mi się, że mam przed oczyma te dwie pełne wdzięku, przytulone do siebie postacie w półotwartych drzwiach, światło padające z przedpokoju przez matowy klosz, barometr i błyszczące pręty, które przytrzymywały chodnik na schodach... Ten przelotny widok cichego ogniska domowego w przeciwstawieniu do ponurej, tajemniczej sprawy przyniósł mi niemałą ulgę.

A im głębiej rozważałem to, co się stało, tym sprawa wydawała mi się bardziej ponura i tajemnicza. Jadąc cichymi, oświetlonymi gazem<sup>44</sup> ulicami, przebiegłem myślą szereg tych nadzwyczajnych wypadków. Śmierć kapitana Morstana, przesyłki z perłami, ogłoszenie, list — wszystko to wyjaśniło się już dokładnie. Wypadki te doprowadziły nas wszakże do tajemnicy głębszej jeszcze i daleko tragiczniejszej. Skarb z Indii, zagadkowy plan znaleziony w rzeczach Morstana, dziwna scena śmierci majora Sholto, odnalezienie skarbu, po którym nastąpiło niezwłocznie zamordowanie człowieka, który go odnalazł, wielce osobliwe okoliczności towarzyszące zbrodni, ślady kroków, niezwykła broń, słowa na kartce, zgodne ze słowami wypisanymi na kartce przy majorze Sholto — wszystko to razem stanowiło labirynt, z którego człowiek uposażony mniej szczerze przez naturę niż mój współlokator nie znalazłby z pewnością wyjścia i zrozpaczony dałby za wygraną.

Pinchin Lane była szeregiem odrapanych dwupiętrowych domków z cegły w niższej położonej części dzielnicy Lambeth. Musiałem pukać przez dłuższy czas pod numer trzeci, zanim mnie usłyszano. W końcu za roletą błysnęła świeca i jakaś twarz wyjrzała z okna na piętrze.

— Uciekaj stąd, pijaku! — zawołano. — Jak się zaraz nie uspokoisz, otworzę budy i wypuszczę na ciebie czterdzieści trzy psy.

— Niech pan wypuści tylko jednego, to mi starczy, po to właśnie przyszedłem — rzekłem.

— Precz stąd! Słuchaj, mam tu w torbie żmiję i jak nie przestaniesz, rzucę ci ją na łeb!

— Ale ja muszę dostać psa! — krzyknąłem.

— Mam dość tej kłótni! — huknął pan Sherman. — Wynoś się! Liczę do trzech, a potem rzucam żmiję.

— Pan Sherlock Holmes... — zacząłem, ale słowa te miały najwidoczniej jakąś magiczną moc. Okno zamknęło się z trzaskiem, w minutę później drzwi odryglowano i otworzono. Stał w nich pan Sherman, nieco zgarbiony, chuderlawy staruszek w okularach o barwionych na niebiesko szklach.

— Przyjaciel pana Sherlocka Holmesa — rzekł — jest zawsze mile widziany. Proszę wejść. Ostrożnie koło borsuka, bo gryzie... A ty paskudna, ty paskudna! Chciałabys skosztować tego pana — mówił znów do kuny, która wysunęła z klatki łeb o złych, czerwonych ślepiach. — Niech się pan nie boi, to tylko padalec, wypuszczam go na podłogę, bo oczyszcza mi mieszkanie z robactwa. Niech mi pan wybaczy, że początkowo nie byłem bardzo gościnny, ale dzieciaki mi strasznie dokuczają i umyślnie stukają do drzwi, żeby mnie niepokoić. Czego pan Sherlock Holmes chce ode mnie?

— Jednego z pańskich psów.

— A, to pewnie Toby'ego?

— Tak jest, Toby'ego.

— Toby mieszka pod numerem siedem, tu na lewo.

Sherman szedł wolno naprzód wśród dziwacznej zwierzęcej rodziny, jaką wokół siebie zgromadził. W niepewnym, bladym blasku świecy widziałem niewyraźnie błyszczące, rozognione ślepia, spoglądające na nas z każdego kąta i każdego otworu. Nawet belki nad głowami zajęte były przez jakieś dwa ptaki, które leniwie przestępowały z nogi na nogę, gdyż nasze głosy zakłóciły im drzemkę.

Jak się okazało, Toby był brzydkim, długowłosym, kłapouchym stworzeniem, mieszańcem wyżła i ogara, o brązowo-białej sierści i niezgrabnym, kaczkowatym chodzie.

Pies

<sup>44</sup>oświetlonymi gazem ulicami — pod koniec XIX w. w dużych miastach używano zasilanych z gazowni lamp gazowych, emitujących silne światło dzięki rozgrzewaniu do białości siatki żarowej płomieniem spalane go gazu; oświetlano nimi ulice i budynki publiczne. [przypis edytorski]

Po chwili wahania przyjął kawałek cukru, który mi podał stary przyrodnik, a po zawarciu w ten sposób przyjaźni pies poszedł za mną do dorożki i bez najmniejszego oporu pojechał.

Na zegarze jakiejś wieży biła właśnie trzecia, gdy stanąłem nareszcie przed Pondicherry Lodge. Dowiedziałem się, że były bokser turniejowy McMurdo został aresztowany jako współnik Thaddeusa Sholto i obu odprowadzono już na posterunek. Dwaj policjanci strzegli wąskich drzwi w murze, lecz gdy tylko wymienilem nazwisko przyjaciela, wpuścili mnie razem z psem.

Holmes stał na progu, z rękoma w kieszeniach. Palił fajkę.

— Aha, masz go! — rzekł. — Dobry, dobry pies... Athelney Jones poszedł sobie. Okazał niesłychaną energię: po twoim odejściu aresztował nie tylko naszego przyjaciela Thaddeusa, ale i odźwiernego, i gospodynię, i hinduskiego służącego. Jesteśmy teraz sami, tylko jeden policjant siedzi na górze. Zostaw tu psa i chodź ze mną.

Przywiązaliśmy Toby'ego do nogi stołu w przedpokoju i weszliśmy na piętro. Pokój zastaliśmy w takim stanie, w jakim zostawiliśmy, tylko ciało przykryto prześcieradłem. Znużony policjant siedział w kącie.

— Niech mi pan użyczy swojej latarni, sierżancie — powiedział Holmes. — A teraz zawiążę mi ten sznurek z tyłu na szyi, żeby wisiała mi na piersi. Dziękuję. Teraz muszę zdjąć buty i skarpetki, a ty, Watsonie, zabierzesz je ze sobą. Trzeba będzie się trochę pogimnastykować. Umaczaj moją chustkę do nosa w kreozocie. Dostyc, tyle starczy. A teraz chodź ze mną na chwilę na poddasze.

Przeleźliśmy przez otwór i Holmes raz jeszcze oświetlił ślady kroków na kurzu.

— Chciałbym, żebyś się dobrze przypatrzył tym śladom — rzekł. — Dostrzegasz w nich coś godnego uwagi?

— Są to ślady stóp dziecka albo kobiety małego wzrostu.

— Ale prócz rozmiarów... Nie widzisz nic szczególnego?

— Wydają się takie jak każde inne.

— Bynajmniej. Spójrz tu! Masz odcisk prawej stopy na kurzu. A teraz ja stawiam swoją bosą stopę obok i też zostawiam odcisk. Jaka między nimi główna różnica?

— Twoje palce są złączone razem, a na tamtym odcisku widać wyraźnie każdy palec osobno.

— Właśnie! O to głównie chodzi! Zapamiętaj sobie tę różnicę. A teraz, czy byłbyś łaskaw podejść do okienka w dachu i powąchać framugę? Ja zostanę tutaj, bo mam tę chustkę w ręku.

Zrobiłem, jak mi polecił, i od razu poczułem silną, ostrą woń.

— Tam właśnie postawił nogę, wychodząc. Jeśli ty możesz go tym śladem wytropić, myślę, że i Toby nie będzie miał żadnych trudności. A teraz zejdź na dół, odwiąż psa i przyjrzyj się sztukom Blondina<sup>45</sup>.

Wyszedłem przed dom, a Sherlock Holmes wdrapał się na dach. Widziałem go, jak na kształt olbrzymiego robaczka świętojańskiego sunął wzdłuż rynny. Znikł mi z oczu za kominami, lecz po chwili ukazał się ponownie, następnie znów zniknął ze strony przeciwnej. Obszedłem dom dokoła i ujrzałem go siedzącego na rogu przy rynnie.

— To ty, Watsonie? — krzyknął.

— Tak.

— Chodź tu. Co tam stoi czarnego na dole?

— Beczka na wodę.

— Ma pokrywę?

— Tak.

— Ani śladu drabiny?

— Nie.

— Niech go diabli porwą!... Tu można kark skrócić. Powinienem przecież umieć zejść stąd na dół, skoro on zdołał się tu wdrapać. Rynna wydaje się dość solidna... Ale tu jakoś idzie...

Usłyszałem szuranie stóp, a światło latarni zaczęło zsuwać się po murze. Wreszcie Holmes lekkim susem zeskoczył na beczkę, a stamtąd na ziemię.

<sup>45</sup>Blondin, Charles (1824–1897) — francuski cyrkowiec, akrobata i linoskoczek. [przypis edytorski]

— Nietrudno było pójść w jego ślady — rzekł, naciągając skarpetki i buty. — Dachówki są zupełnie obłuzowane. W pośpiechu zgubił ten oto przedmiot. To potwierdza moją diagnozę, jak się wyrażacie wy, lekarze.

To mówiąc, pokazał mi małą torebkę, czy też sakiewkę z kolorowej trawy, ozdobioną kilkoma jaskrawymi paciorkami. Kształtem i wielkością przypominała papierośnicę. Wewnątrz znajdowało się sześć cierni, zaostrzonych z jednego końca, zaokrąglonych z drugiego, takich jak ten, który utkwiał w głowie Bartholomeusa Sholto.

— Piekielna broń! — rzekł Holmes. — Uważaj, żebyś się nie ukłuł. Jestem zachwycony, że to znalazłem, bo zdaje się, że więcej tych cierni nie ma. Teraz słabnie obawa, aby coś podobnego znalazło się wkrótce w naszym ciele. Gdyby mi przyszło wybierać, wolałbym już kulkę Martiniego<sup>46</sup>. Czy zdolny jesteś jeszcze do sześciomilowej<sup>47</sup> wycieczki, Watsonie?

— Ma się rozumieć — odparłem.

— Twoja noga wytrzyma?

— O, naturalnie!

— A, jesteś tu, piesku!... Poczciwy, dobry Toby! Powąchaj, piesku, powąchaj! — Mówiąc to, podsunął nasyoną kreozotem chustkę pod nos psu, który stał z rozkraczonymi łapami i wielce komicznym ruchem przekrzywił łeb, zupełnie jak znawca wachający doskonale wino.

Następnie Holmes rzucił chustkę daleko, przywiązał mocny sznur do obroży psa i podprowadził go do beczki. Pies natychmiast głośno zaszczekał, po czym z nosem przy ziemi i zadartym w górę ogonem leciał śladem woni tak szybko, że musieliśmy pędzić, chcąc go utrzymać.

Na wschodzie zaczęło świtać i mogliśmy już teraz widzieć na pewną odległość. Kwadratowy, wielki dom o czarnych, pustych oknach i wysokich nagich murach został w tyle, ponury i groźny. Droga wiodła przez niezabudowany obszar wśród dołów i kopców. Całe to miejsce, z porozrzucanymi stosami śmieci i nędznymi krzakami, wyglądało jak przeklęte, a złowrogie pozory odpowiadały ponurej tragedii, jaka się tu rozegrała.

Po zbliżeniu się do otaczającego posiadłość muru Toby zaczął biec wzdłuż niego, skowycząc, i wreszcie zatrzymał się na rogu osłoniętym młodym krzakiem. W miejscu, gdzie łączyły się ze sobą dwie ściany, wyjęto kilka cegieł, a powstałe otwory były wytarte i zaokrąglone na dolnej krawędzi, jakby służyły często za stopnie. Holmes wszedł po tych stopniach i wzięwszy ode mnie psa, opuścił go na przeciwną stronę.

— Patrz, tu jest odcisk ręki człowieka o drewnianej nodze — rzekł, gdy znalazłem się przy nim. — Widzisz małą plamkę krwi na białym tynku? Co za szczęście, że jeszcze deszcz nie zmył! Pomimo że minęła już przeszło doba od ich ucieczki, jestem przekonany, że woń kreozotu została jeszcze na drodze.

Wyznaję, że miałem co do tego poważne wątpliwości, zważywszy wielki ruch panujący na tej londyńskiej drodze. Jednak obawy moje niebawem pierzchły. Toby nie zawahał się ani nie zatrzymał, lecz biegł stale naprzód. Widocznie ostra woń kreozotu górowała nad wszystkimi zapachami.

— Nie wyobrażaj sobie — rzekł Holmes — że moje powodzenie tym razem zależy jedynie od tego, iż jeden z tych jegomościów wdepnął przypadkiem w kreozot. Teraz wiem już tyle, że mógłbym ich śledzić rozmaitymi sposobami. Ten wszakże jest najszybszy, a skoro szczęśliwy zbieg okoliczności nam go podsunął, zawiniłbym, gdybym go zaniechał. Niemniej fakt ten sprawił, że cały wypadek przestał już być tak ciekawą zagadką, na jaką się zrazu zapowiadał. Sprawa mogłaby przynieść duże uznanie, gdyby nie ta zbyt widoczna wskazówka.

— Już zyskałeś niemałe uznanie — rzekłem. — Zapewniam cię, że zdumiewam się nad metodami, jakimi dochodzisz do wyników, zdumiewam się jeszcze bardziej niż w sprawie morderstwa Jeffersona Hope'a. Wypadek obecny wydaje mi się bardziej złożony i bardziej niewytłumaczalny. Jakim sposobem, na przykład, mogłeś opisać z taką pewnością człowieka z drewnianą nogą?

<sup>46</sup>*Martini-Henry* — brytyjski karabin jednostrzałowy wprowadzony do uzbrojenia w drugiej połowie XIX w., łączący zamek skonstruowany przez Friedricha von Martiniego z lufą konstrukcji Alexandra Henry'ego. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>*mila angielska* — dawna miara odległości równa ok. 1,6 km; sześć mil to ok. 9,5 km. [przypis edytorski]

— Phi, mój drogi... to takie proste! Posłuchaj tylko: dwaj oficerowie, którym powierzono straż nad więźniem, dowiadują się ważnej tajemnicy o ukrytym skarbie. Niejaki Jonathan Small, Anglik, rysuje dla nich plan. Przypomnij sobie, że widzieliśmy to nazwisko na planie znalezionym w rzeczach kapitana Morstana. Small podpisał go w imieniu swoim i swych trzech współników — „Znakiem Czterech”, jak to dramatycznie nazwał. Przy pomocy tego planu oficerowie, lub może jeden z nich, odnajdują skarb i przywożą do Anglii, nie spełniwszy, jak przypuszczam, pewnego warunku, pod jakim ten skarb otrzymali. A teraz, dlaczego Jonathan Small nie wydobyl skarbu sam? Odpowiedź nie-trudna. Na planie jest data z czasu, kiedy Morstan był w bliskim kontakcie z więźniami. Jonathan Small nie mógł wydobyć skarbu, gdyż zarówno on, jak i jego współnicy byli więźniami, a wskutek tego nie mieli swobody ruchów...

— Ależ to tylko przypuszczenia — zauważyłem.

— Przepraszam cię, to jedyna hipoteza, która odpowiada faktom. Zobaczmy, jak się zgadza z faktami. Major Sholto żyje przez czas pewien w spokoju, szczęśliwy z posiadania skarbu. Następnie otrzymuje z Indii list, który go przeraża. Dlaczego?

— Bo mu doniesiono, że ludzie, których skrzywdził, zostali uwolnieni.

— Albo uciekli z więzienia. To daleko prawdopodobniejsze, inaczej bowiem wiedziałby, kiedy kończy się ich kara, i nie byłoby to dla niego niespodzianką. Cóż więc czyni? Wystrzega się człowieka o drewnianej nodze, myli się, bierze za niego jakiegoś wędrownego handlarza i strzela doń z rewolweru. Na planie zaś jest tylko jedno nazwisko białego człowieka, reszta to hinduiści lub mahometanie. Stąd też możemy twierdzić na pewno, że człowiekiem o drewnianej nodze jest Jonathan Small. Czy rozumowanie to wydaje ci się fałszywe?

— Nie, owszem, jest jasne i ścisłe.

— A teraz postawmy się na miejscu Jonathana Smalla i rozważmy sprawę z jego punktu widzenia. Przybywa do Anglii z podwójnym zamiarem: odzyskania tego, do czego sądzi, iż ma prawo, i zemśczenia się na człowieku, który go skrzywdził. Odszukał mieszkanie Sholta i prawdopodobnie nawiązał kontakt z kimś ze służby. Nie widzieliśmy tego służącego, Lala Rao, o którym pani Bernstone wyrażała się, że daleko mu do dobrego człowieka. Small nie mógł jednak znaleźć skarbu, bo nikt nigdy nie wiedział, gdzie był schowany, z wyjątkiem majora i jednego wiernego sługi, który już nie żył. Nagle Small dowiaduje się, że major kona. Zdjęty trwogą, iż tajemnica zginie wraz z nim, biegnie, niepomyślnie, że może zostać schwytany. Dostaje się pod okno konającego i jedynie obecność dwóch synów Sholta wstrzymuje go od wejścia. Ogarnięty szałem nienawiści do nieboszczyka, wchodzi do pokoju w nocy, przetrząsa jego papiery w nadziei, że znajdzie jakąś notatkę dotyczącą skarbu, i w końcu zostawia ślad swej wizyty w postaci krótkiego napisu na kartce. Zaplanował sobie prawdopodobnie z góry, że gdyby zamordował majora, pozostawi jakiś znak na zwłokach, że nie jest to zbrodnia pospolita, lecz z punktu widzenia czterech współników coś w rodzaju wymiaru sprawiedliwości. Fantastyczne, dziwaczne urojenia tego rodzaju notują dość często rozniki kryminalne. Czy ci się to wydaje jasne?

— Najzupełniej.

— Cóż Jonathan Small mógł następnie uczynić? Mógł tylko potajemnie czuwać nad usiłowaniami odnalezienia skarbu. Prawdopodobnie opuszcza Anglię i przyjeżdża tu od czasu do czasu. Następuje odkrycie poddasza, o czym Small zostaje niezwłocznie zawiadomiony. Mamy tu ponownie ślad jakiegoś sprzymierzeńca w domu. Jonathan, ze swoją drewnianą nogą, nie może oczywiście dostać się do pokoju Bartholomeusa Sholto. Zabiera więc ze sobą jakiegoś osobliwego współnika, który pokonuje tę trudność, lecz wchodzi bosą stopą w kreozot. Stąd potem wynika pomoc Toby'ego i sześciomilowy spacer dla doktora z uszkodzonym ścięgnem Achillesa.

— Ale morderstwo popełnił współnik, nie Jonathan!

— Tak jest. I to ku rozpaczy Jonathana, sądząc po sposobie, w jaki tupął nogami, gdy wszedł do pokoju. Nie miał żadnego żalu do Bartholomeusa Sholto i wolałby go po prostu związać i zakneblować. Nie chciał bynajmniej dawać głowy pod stryczek, jednak nie było rady: dzikie instynkty towarzysza i trucizna zrobiły swoje. Jonathan Small tedy pozostawił notatkę, spuścił skrzynkę ze skarbem przez okno i... czmychnął. Oto według mnie przypuszczalny bieg wypadków. Co zaś do powierzchowności Smalla, to musi



on być w średnim wieku i ogorzały, skoro odbył służbę w takim piecu jak Andamany. Wzrost jego łatwo da się określić z długości kroku, wiemy również, że ma brodę. Właśnie bujność owłosienia uderzyła Thaddeusa Sholto, gdy ujrzał twarz za oknem. Myślę, że to już wszystko.

— A wspólnik?

— I tu tajemnica niezbyt zawikłana. Ale dowiesz się niebawem reszty. Jakie to poranne powietrze jest rozkoszne! Spójrz... ta drobna chmurka wisi niby różowe pióro jakiegoś olbrzymiego flaminga... Teraz purpurowy brzeg słońca wtacza się na ławę chmur... Przyswieca tysiącom ludzi, ale ręczę, że nikomu, kto by miał tak szczególne zadanie do spełnienia, jak my. Jakże mali wydajemy się z naszymi błahymi ambicjami i walkami wobec potężnych, żywiołowych sił przyrody! Znasz dobrze Jean Paula<sup>48</sup>?

— Dość dobrze. Powróciłem do niego po przestudiowaniu Carlyle'a<sup>49</sup>.

— To znaczy śledzić brzeg strumienia w górę, aż do jeziora, z którego wypływa. Jean Paul rzucił jedno ciekawe a głębokie spostrzeżenie. Mianowicie, że najlepszym dowodem prawdziwej wielkości człowieka jest jego przekonanie o własnej małości. Dowodzi to, widzisz, jego zdolności porównywania i oceny, co samo w sobie jest dowodem szlachetnego ducha. Masz rewolwer?

— Mam łaskę.

— Być może będzie nam potrzebna, jeśli dotrzemy do ich kryjówki. Jonathana zostawię tobie, ale gdyby tamten drugi stawiał opór, zastrzelę go na miejscu.

Mówiąc to, wyjął rewolwer, nabił go i schował do bocznej prawej kieszeni marynarki.

Prowadzeni przez Toby'ego, szliśmy ku stolicy podmiejskimi drogami, wzdłuż których ciągnęły się wille. Teraz jednak zaczynaliśmy zbliżać się do ciasno zabudowanych ulic, gdzie rolnicy i robotnicy okrętowi wybierali się do pracy, a zaspane kobiety otwierały okiennice i zamiataly stopnie przed drzwiami. W szynkowniach rozpoczynał się już ruch — wychodzili z nich mężczyźni o powierzchowności niebudzącej zaufania i rękawem ocierali brody po rannym, obficie zakropionym śniadaniu. Psy harcowały po ulicach i spoglądały na nas ze zdziwieniem, ale niezrównany Toby nie oglądał się ani na lewo, ani na prawo, tylko szedł naprzód z nosem przy ziemi, skomląc od czasu do czasu, co dowodziło, że ślad jest jeszcze gorący.

Minęliśmy Streadham, Brixton, Camberwell i przedostawszy się bocznymi uliczkami na wschód od Owalu, znaleźliśmy się w Kennigton Lane. Ludzie, których ścigaliśmy, dążyli zygzakowatą drogą, chcąc prawdopodobnie zmylić prześladowców. Nigdy nie szli główną ulicą, jeśli boczna prowadziła w tym samym kierunku. Na krańcu Kennington Lane skręcili na lewo przez Bond Street i Miles Street. W miejscu, gdzie Miles Street wychodzi na Knight's Place, Toby przystanął na chwilę, po czym zaczął latać tam i z powrotem, z jednym uchem nastawionym, drugim opuszczonym — istny obraz psiego zakłopotania. Potem kręcił się w kółko, spoglądając na nas od czasu do czasu, jakby oczekując współczucia.

— Co ten pies wyprawia? — mruknął Holmes. — Przecież nie wsiedli do dorożki ani nie pofrunęli balonem.

— Może zatrzymali się tutaj i stali jakiś czas.

— A... masz słuszność. Toby znów rusza w drogę — rzekł z widocznym zadowoleniem.

Istotnie, pies zakręcił się raz jeszcze w kółko, zdecydował się widocznie i popędził naprzód z nową energią i zapałem. Woń była widocznie silniejsza niż poprzednio, gdyż Toby już nawet nie trzymał nosa przy ziemi, lecz szarpał się i próbował urwać się z postronka. Z błysku w oczach Holmesa biło przekonanie, że zbliżamy się do kresu wycieczki.

Droga wiodła przez Nine Elms aż do dużego tartaku Brodericka i Nelsona, za gospodą pod Białym Orłem. Tu pies, podniecony do najwyższego stopnia, skręcił w boczną bramę i wpadł na dziedziniec, gdzie pracowali już tracie. Biegł dalej przez trociny i wióry,

<sup>48</sup>Jean Paul, właśc. *Johann Paul Friedrich Richter* (1763–1825) — niemiecki pisarz, jeden z prekursorów romantyzmu niemieckiego; autor wierszy z elementami ironii i satyry oraz opowieści niesamowitych. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>Carlyle, *Thomas* (1795–1881) — szkocki historyk i filozof historii, popularyzator i jeden z twórców swoistej historiozofii zwanej heroizmem, w myśl której historię tworzą tylko wybitni ludzie; wzbudzał kontrowersje jako społeczny komentator i miał duży wpływ na myśl pravicową w epoce wiktoriańskiej. [przypis edytorski]

ścieżką między dwoma stosami drzewa, i w końcu z triumfującym szczekaniem wskoczył na wielką beczkę stojącą na ręcznym wózku. Z wywieszonym ozorem i przymrużonymi ślepiami stał na beczce, spoglądając na nas kolejno, jakby czekał nagrody. Klepki beczki i koła wózka zasmarowane były ciemnym płynem, a w powietrzu unosiła się ostra woń kreozotu.

Ośłupieliśmy, spojrzeliśmy po sobie i... mimo woli parsknęliśmy głośnym śmiechem.

## VIII. SIŁY OCHOTNICZE Z BAKER STREET

— Co dalej? — spytałem. — Toby przestał być nieomylny.

— Działal, jak mu instynkt wskazywał — odparł Holmes, zdjął psa z beczki na ziemię i wyprowadził go z dziedzińca. — Jeśli weźmiesz pod uwagę, ile kreozotu przewożą codziennie po ulicach, nic dziwnego, że zmyliliśmy drogę. Kreozot jest bardzo rozpowszechniony, zwłaszcza w zastosowaniu do nasycania drzewa. To nie wina biednego Toby'ego.

— Trzeba będzie teraz powrócić do pierwotnego tropu.

— Tak. Na szczęście droga nie będzie daleka. Na rogu Knight's Place pies dlatego widocznie znalazł się w kłopotcie, że rozchodziły się tam dwie drogi w różnych kierunkach. Poszliśmy złą drogą, teraz pozostaje nam udać się inną ulicą.

Wykonanie tego planu nie przedstawiało trudności. Pies, przyprowadzony na punkt rozstajny, zaczął znów kręcić się na miejscu i ostatecznie pobiegł w innym kierunku.

— Musimy uważać, żeby nas teraz nie zaprowadził tam, skąd przywieźli beczkę z kreozotem — zauważyłem.

— Myślałem o tym. Ale, jak widzisz, prowadzi nas chodnikiem, podczas gdy beczka jechała środkiem ulicy. Nie, teraz jesteśmy na właściwym tropie.

Uliczka wiodła nad Tamizę, przez Belmont Place i Prince's Street. Przy końcu Broad Street pies pobiegł prosto nad wodę, do małej drewnianej przystani, i zaprowadził nas na brzeg, gdzie stanął, skowycząc i patrząc w ciemną toń.

— Nie mamy szczęścia — rzekł Holmes. — Widocznie wsiedli do łódki.

W przystani stały łodzie różnego kształtu. Obeszliśmy je kolejno z Tobym, ale pies, choć obwąchiwał je skwapliwie, pozostał obojętny.

Opodał przystani stał mały domek, a w oknie widniała drewniana tabliczka z napisem: „Mordechaj Smith, łodzie do wynajęcia na dni i godziny”. Drugi napis nad drzwiami zawiadamiał, że można było wynająć również łódź motorową, a potwierdzał to stos koksu złożony obok domku. Sherlock Holmes rozglądał się dokoła ponuro.

— Kiepska sprawa — rzekł. — Ci hultaje są sprytniejsi, niż sądziłem. Zatarli, zdaje się, ślady. Obawiam się, że mieli plan dobrze obmyślony.

Mówiąc to, zbliżał się do domku, gdy naraz drzwi się otworzyły i wybiegł sześcioletni kędzierzawy małek, a za nim tęga kobieta o rumianym obliczu, z wielką gąbką w dłoni.

— Jack, wracaj tu! Chodź do mycia! — krzyknęła. — Wracaj, nicponiu jeden! Jak ojciec przyjdzie i zastanie cię umorusanego, będziemy się mieli z pyszna!

— Co za śliczny dzieciak — odezwał się Holmes dyplomatycznie. — A jaką ma buzię różową, urwis! Jack, słuchaj no, co byś chciał mieć?

Małek zastanowił się.

— Chciałbym szylinga<sup>50</sup> — odparł po chwili.

— A może byś wolał coś innego?

— Wolałbym dwa szylingi — odpowiedział po krótkim namyśle.

— Patrzcie państwo! A, no to masz... łap!... Mądre dziecko, pani Smith.

— Bóg panu zapłać... A taki żywy! Nie mogę sobie z nim poradzić, zwłaszcza, jak męża nie ma w domu całymi dniami.

— Nie ma go w domu? — rzekł Holmes takim tonem, jakby doznał największego zawodu. — Bardzo mi przykro, bo właśnie chciałem pomówić z panem Smithem.

— Nie ma go od wczoraj i prawdę mówiąc, to zaczynam być o niego niespokojna. Ale jeśli chodzi o łódź, to mogę męża zastąpić.

— Chciałem wynająć jego motorówkę.

<sup>50</sup>szyling — dawna angielska jednostka monetarna; szyling dzielił się na 12 pensów, 20 szylingów tworzyło funt. [przypis edytorski]

— Niestety, proszę pana, akurat nią popłynął. To mnie właśnie dziwi, bo wiem, że węgla na niej tylko tyle, że starczy do Woolwich i z powrotem. Gdyby był popłynął łodzią, nic bym nie myślała, bo nieraz pływał aż do Gravesend, a jak tam miał dużo roboty, to zostawał na dłużej. Ale co za pożytek z motorówki bez węgla?

— Mógł dokupić węgiel w jakiejś przystani w dole rzeki.

— Mógł, ale nie ma tego w zwyczaju. Nieraz słyszałam, jak narzekał, że tak drogo cenią za parę głupich worków. Zresztą, nie podoba mi się ten człowiek z drewnianą nogą, z tą szkaradną twarzą i cudzoziemską wymową. Po co on się tu kręci?

— Człowiek z drewnianą nogą? — powtórzył Holmes tonem zdziwienia.

— Tak, proszę pana. Taki opalony, z małpią twarzą, przychodził już nieraz do męża. Obudził go wczoraj w nocy, a co więcej, mąż wiedział, że on przyjdzie, bo rozpałił ogień pod kotłem. Mówię panu otwarcie, że mi się to nie podoba!

— Ależ, droga pani — rzekł Holmes, wzruszając ramionami — zupełnie niepotrzebnie się pani niepokoi. Skąd pani wie, że to właśnie ten człowiek z drewnianą nogą przyszedł do męża w nocy? Skąd ta pewność?

— Jego głos, proszę pana! Poznałam jego gruby głos. Zastukał do okna... mogła być trzecia... „Wstawajcie — powiada — czas w drogę”. Mój stary obudził Jima... to mój najstarszy... i poszli, a do mnie to się nawet nie odezwali. Słyszałam dobrze stuk drewnianej nogi po kamieniach.

— A czy ten człowiek był sam?

— Nie mogę powiedzieć, proszę pana. Nie słyszałam nikogo innego.

— Bardzo mi przykro, bo chciałem wynająć porządną łódź motorową, a zachwalano mi bardzo... jakże się nazywa?

— „Aurora”, panie.

— Aha! Czy to nie taka stara, zielona motorówka z żółtym pasem, bardzo szeroka pośrodku?

— Nie, proszę pana. Jest mała i wąska, a została teraz świeżo pomalowana na czarno z dwoma czerwonymi pasami.

— Dziękuję. Liczę, że pan Smith wróci niebawem. Udaję się w dół rzeki, a gdybym gdzieś spostrzegł „Aurorę”, zawiadomię pana Smitha, że pani jest niespokojna. Mówiła pani, że „Aurora” ma czarny komin, prawda?

— Nie, proszę pana. Czarny z białym pasem.

— A, tak... To boki miała czarne. Żegnam panią. Watsonie, tam stoi przewoźnik z promem. Wsiądziemy i przepłyniemy na drugą stronę rzeki.

— Główna rzecz w postępowaniu z takimi ludźmi — odezwał się Holmes, gdyśmy już siedzieli na promie — to nie dać im poznać, że ich informacje mogą mieć dla ciebie jakiegokolwiek znaczenie. Jeżeli się tylko z tym zdradzisz, zamkną się niezwłocznie jak ostryga. A jeśli ich słuchasz obojętnie, dowiesz się zawsze, czego tylko zechcesz.

— Nasza droga jest teraz bardzo prosta — rzekłem.

— Cóż byś uczynił?

— Wynająłbym statek i popłynął w dół rzeki szukać „Aurory”.

— Mój drogi, byłoby to olbrzymie zadanie. Mogła zawinąć do którejkolwiek przystani po obydwu stronach rzeki stąd aż do Greenwich. Poniżej mostu ciągnie się istny labirynt przystani. Minęłyby tygodnie, zanim człowiek zdołałby je przeszukać.

— To wezwij do pomocy policję.

— Nie chcę... Prawdopodobnie na zakończenie wezwę Athelneya Jonesa. To niezły chłop i nie chciałbym zrobić czegoś, co mogłoby mu zaszkodzić zawodowo. Ale pragnąłbym opracować całą sprawę sam, skoro mam już wszystkie nici w ręku.

— Może zamieścić ogłoszenie, żeby pracownicy przystani udzielili nam informacji?

— To byłoby jeszcze gorzej. Nasi panowie domyślą się z pewnością, że są ścigani, i opuszczą kraj. Dopóki jednak będą przypuszczać, że nikt nie wykrył ich śladu, nie będą się śpieszyli. Dopomoże nam tu gorliwość i energia Jonesa. Dzienniki opiszą zaraz jego działalność w tej sprawie i bandyci nabiorą przekonania, że wszyscy są na fałszywym tropie.

— Cóż więc pocznijemy? — spytałem, gdy wylądowaliśmy w pobliżu więzienia Millbank<sup>51</sup>.

— Weźmiemy dorożkę, pojedziemy do domu, zjemy śniadanie i prześpijmy się z go-dzinkę. Bardzo możliwe, że będziemy musieli dzisiejszą noc spędzić jeszcze przy pracy. Stańcie przed urzędem pocztowym — zwrócił się do woźnicy. — Zatrzymamy Toby'ego, może nam się jeszcze przydać.

Stanęliśmy przed pocztą na Great Peter Street, skąd Holmes wysłał depeszę.

— Jak ci się zdaje, do kogo telegrafowałem? — spytał, gdy ruszyliśmy dalej.

— Nie mam pojęcia.

— Pamiętasz oddział policji śledczej z Baker Street, którym posługiwałem się w sprawie Jeffersona Hope'a?

— Pamiętam.

— Otóż w obecnym wypadku mogą się okazać użyteczni. Jeśli mi się nie uda, mam inne środki, ale najpierw spróbuję ich pomocy. Wysłałem depeszę do tego małego, umorusanego łobuziaka, Wigginsa, i liczę, że będzie u nas ze swoją bandą, zanim zdążymy zjeść śniadanie.

Była już blisko dziewiąta i zacząłem odczuwać silną reakcję po wrażeniach nocnych. Noga mi dokuczala, utykałem, ogarnęło mnie znużenie, miałem umysł mętny, a ciało zmęczone. Nie ożywał mnie, jak Holmesa, zawodowy zapal, nie mogłem też traktować sprawy jedynie abstrakcyjnie. O Bartholomeusie Sholto słyszałem tak mało dobrego, że nie czułem bynajmniej wielkiej antypatii do jego morderców. Ze skarbem wszakże miało się inaczej. Co najmniej jego część należała do miss Morstan i dopóki istniała jakakolwiek szansa odzyskania go, byłem gotów poświęcić życie dla tego celu. Prawda, że gdybym odnalazł skarb, miss Morstan stałaby się dla mnie na zawsze niedostępna. Ale marna i samolubna byłaby miłość ulegająca wpływom podobnych myśli. Jeśli Holmes mógł pracować nad wykryciem przestępców, mnie stokroć silniejsze powody pobudzały do odszukania skarbu.

Powróciłem do domu. Kąpiel orzeźwiła mnie zupełnie. Gdy zeszedłem na śniadanie, Holmes nalewał kawę.

— Oto masz — rzekł, śmiejąc się i wskazując rozłożoną gazetę. — Energiczny Jones i wszędobylski reporter już się porozumieli. Ale dosyć tego. Zabierz się do szynki i jajek.

Wziąłem jednak gazetę i przeczytałem krótką notatkę pod tytułem: „Tajemnicza sprawa w Upper Norwood”.

Wczoraj około godziny dwunastej w nocy — pisał „Standard” — w Pondicherry Lodge w Upper Norwood znaleziono zwłoki pana Bartholomeusa Sholto w jego własnym pokoju, w nader tajemniczych okolicznościach. Nie wykryto dotąd na osobie pana Sholto żadnego śladu gwałtu, zginął jednakże cenny zbiór klejnotów indyjskich, które nieboszczyk odziedziczył po ojcu. Fakt ten wykryli pan Sherlock Holmes i dr Watson, którzy przybyli wraz z bratem zmarłego, Thaddeusem Sholto. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności pan Athelney Jones, znany członek policji śledczej, był właśnie na posterunku w Norwood i znalazł się na miejscu wypadku w pół godziny po alarmie. Zabrawszy się do dzieła z właściwą mu energią i wprawą, usiłował przede wszystkim wykryć przestępców; usiłowania te uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem. Aresztowano Thaddeusa Sholto, gospodynię, panią Bernstone, hinduskiego służącego, nazwiskiem Lal Rao, i odźwiernego McMurdo. Nie ulega wątpliwości, że złodziej, względnie złodzieje, obeznani byli z terenem, pan Jones bowiem dzięki swym wiadomościom technicznym i niepospolitemu darowi obserwacyjnemu dowiódł niezbicie, że złoczyńcy nie mogli wejść drzwiami ani oknem, lecz dostali się przez dach budynku, następnie przez kłapę do pomieszczenia, które łączyło się bezpośrednio z pokojem, w którym znaleziono ciało. Fakt ten jest oczywistym dowodem, że kradzież nie była przypadkowa, lecz zaplanowana. Szybka i energiczna akcja przedstawicieli prawa wykazuje, jak korzystna w podobnych wypadkach jest

<sup>51</sup>Millbank — dawne więzienie w Londynie; otwarte w 1816, zamknięte w 1890; obecnie jego budynek nie istnieje. [przypis edytorski]

obecność człowieka obdarzonego silną wolą i bystrym umysłem. Zdaniem naszym jest to jeszcze jeden argument na poparcie żądania decentralizacji służb policyjnych, co ułatwiłoby im natychmiastowe dochodzenia.

— Kapitalne — rzekł Holmes, śmiejąc się. — Cóż ty na to?

— Co? Myślę, że niewiele brakowało, aby i nas aresztowano jako uczestników zbrodni.

— I mnie się tak zdaje. Nie ręczyłbym za nasze bezpieczeństwo w razie powtórnego napadu energii pana Jonesa.

W tej samej chwili rozległ się dzwonek i usłyszałem okrzyki oburzenia naszej gospodyni, pani Hudson.

— Na Boga — rzekłem, wstając — zdaje się, że naprawdę przyszedli po nas.

— Nie, nie obawiaj się, tymczasem jeszcze nie. To siła nieurzędowa... ochotnicza policja z Baker Street.

Gdy to mówił, rozległ się szybki tupot bosych stóp po schodach, krzykliwa paplania i do pokoju wpadło dwunastu brudnych, obdartych łobuzów. Pomimo hałaśliwego wejścia ustawili się natychmiast karnym szeregiem i spoglądali wyczekująco. Najwyższy i najstarszy z nich stał na przodzie z miną pełną komicznej godności.

— Otrzymałem wezwanie — rzekł — i sprowadziłem ich.

— Dobrze — odparł Holmes — ale na przyszłość niech oni zgłaszają się do ciebie, Wiggins. Nie lubię takiego najścia na mój dom, choć dobrze się składa, iż wszyscy usłyszycie zlecenie. Chcę, żebyście się dowiedzieli, gdzie jest teraz łódź motorowa „Aurora”, własność Mordechaja Smitha, czarna z dwoma czerwonymi pasami; komin czarny z białą obręczą. Jest gdzieś w dole rzeki. Jeden z was musi pójść na przystań Smitha naprzeciwko Millbank i uważać, czy motorówka nie wraca. Rozdzielcie się tak, żeby pilnować jednocześnie obu brzegów i donosić mi niezwłocznie o wszystkim. Rozumiecie?

— Tak, proszę pana.

— Dostaniecie zwykłą zapłatę, a kto znajdzie motorówkę, dostanie ponadto gwineę. Macie tu za dzień z góry. A teraz jazda!

Wręczył każdemu po szylingu. Chłopcy zbiegli ze schodów i popędzili na stanowiska.

— Jeśli motorówka jest gdzieś na wodzie, znajdą ją — rzekł Holmes, wstając od stołu i zapalając fajkę. — Malcy pójdą wszędzie, dostrzegą wszystko, każdego podsłuchają. Spodziewam się przed wieczorem wiadomości. Tymczasem musimy czekać. Nie możemy powiązać zerwanych nici, póki nie znajdziemy „Aurory” lub Smitha.

— Położysz się teraz, Holmesie?

— Nie, nie jestem zmęczony. Mam szczególny organizm: tylko próżniactwo nuży mnie i wyczerpuje. Będę palił i rozważał tę niewesołą sprawę, w którą wplątała nas piękna klientka. Pod pewnym względem trudno o łatwiejsze zadanie niż nasze. Ludzi z drewnianymi nogami nie ma znów tak wielu, a współnik Smalla musi być po prostu unikatem.

— Znów tak zagadkowo wspominasz o tym współniku!

— Nie chcę bynajmniej osłaniać go przed tobą tajemnicą. Chciałbym, żebyś sam wyrobił sobie o nim zdanie. Zastanów się tylko nad danymi, jakie mamy: ślady bardzo małych stóp, palce nóg nigdy niekrępowane obuwem, nagie stopy, maczuga z kamienną gałką, niebywała zręczność, małe zatrute strzałki... Co sądzisz o tym człowieku?

— Dziki! — zawołałem. — Może ktoś z Hindusów, współników Jonathana Smalla?

— Nie sądzę. Kiedy pierwszy raz spostrzegłem znak po niezwyklej broni, i ja tak myślałem, ale widząc szczególne ślady stóp, zmieniłem zdanie. Żaden z mieszkańców Półwyspu Indyjskiego nie mógł pozostawić takich śladów. Hindus ma stopę długą i wąską. Mahometanin ma duży palec wyraźnie oddzielony od innych, bo rzemień sandału przechodzi zwykle między palcem wielkim a sąsiednim. Co zaś tyczy się pocisku, mógł być wyrzucony tylko przez dmuchawkę. Gdzie wobec tego należałoby szukać naszego dzikiego?

— W Ameryce Południowej — odparłem na chybił trafił.

Holmes wyciągnął rękę i zdjął z półki grubą książkę.

— Jest to pierwszy tom niedawno rozpoczętego wydawnictwa, zawiera więc niewątpliwie najnowsze dane. Zobaczmy... Patrz: „Wyspy Andamańskie, położone o 340 mil na

północ od Sumatry, w Zatoce Bengalskiej”. Hm... hm... to mniejsza... „Klimat wilgotny, rafy koralowe, rekiny, Port Blair, więzienie, Rutland Island, bawełna”... Aha, mam! „Pierwotni mieszkańcy Wysp Andamańskich mogą rościć pretensje do miana najmniejszej rasy na ziemi, chociaż antropologowie oddają pod tym względem pierwszeństwo Buszmenom afrykańskim, Indianom plemienia Digger w Ameryce oraz mieszkańcom Ziemi Ognistej. Przeciętny wzrost Andamańczyka wynosi niecałe cztery stopy, choć często spotykamy tam ludzi dorosłych znacznie niższych. Są oni okrutni, dzicy i ponurego usposobienia, niesforni, zdolni mimo to do wiernej przyjaźni dla człowieka, który umie pozyskać ich zaufanie”. Zanutuj to sobie dobrze, Watsonie. A teraz słuchaj dalej: „Powierzchność ich jest potworna, wielkie, niekształtne głowy, dzikie oczy, powyrzywiane rysy, stopy i ręce bardzo małe. Wszelkie usiłowania kolonistów brytyjskich w celu pozyskania sympatii Andamańczyków speszły na niczym wobec ich niesforności i okrucieństwa. Są oni ciągłym postrachem rozbitych okrętów; zabijają bez miłosierdzia ocalałych rozbitek maczugami o kamiennych galkach lub zatrutymi strzałami. Rzezie te kończą się zwykle ludożerczą ucztą”. Nie ma co, miły ludek. Gdyby ów jegomość mógł działać według własnego uznania, obrót sprawy byłby jeszcze straszliwszy. Zdaje mi się, że i tak wobec tego, co zaszło, Small dałby wiele, aby nie potrzebować uciekać się do jego pomocy.

— Ale jak się to stało, że wybrał sobie takiego pomocnika?

— Tego nie mogę ci wyjaśnić. Skoro jednak ustaliliśmy już, że Small przybył z Andamanów, nie ma w tym nic dziwnego, że przywiózł ze sobą tego wyspiarza. Niewątpliwie dowiemy się o wszystkim we właściwym czasie. A teraz spróbuję cię ukołysać do snu.

Holmes wyjął skrzypce z futerału. Wyciągnąłem się na kanapie, a on zagrał jakąś rzewną melodię, niewątpliwie własnej kompozycji, miał bowiem niezwykłą łatwość improwizacji. Zachowałem tylko niejasne wspomnienie jego wysokiej, poważnej postaci i pociągnięć smyczka. Uniosła mnie łagodna fala dźwięków i wkrótce znalazłem się w krainie marzeń, a słodkie oblicze Mary Morstan pochyliło się nade mną...

## IX. PRZERWANY ŁAŃCUCH

Dobrze już po południu obudziłem się krzepki i orzeźwiony. Sherlock Holmes siedział nadal na tym samym miejscu. Odłożył już skrzypce i czytał książkę. Gdy się poruszyłem, zwrócił ku mnie nachmurzoną twarz.

— Mocno spałeś — rzekł. — Bałem się, że nasza rozmowa cię zbudzi.

— Nic nie słyszałem. Masz jakieś nowe wiadomości?

— Niestety, nie. Jestem wprost zdziwiony. Spodziewałem się czegoś konkretnego, lecz Wiggins, który tu był przed chwilą, oznajmił, że niepodobna odnaleźć śladu motorówki. To wielki zawód, bo każda godzina jest droga.

— Mogę ci w czymś dopomóc? Wypocząłem znakomicie i jestem gotów na kolejną nocną wycieczkę.

— Nie, nie możemy jeszcze działać. Trzeba czekać. Gdyby podczas naszej nieobecności nadeszła tu jakaś wiadomość, znów nastąpiłaby zwłoka. Zresztą możesz robić, co ci się podoba, ale ja muszę zostać w domu.

— W takim razie pójdę do Camberwell odwiedzić panią Forrester. Prosiła wczoraj...

— Panią Forrester? — spytał Holmes ze znaczącym uśmiechem.

— No, oczywiście, i miss Morstan. Były bardzo zaniepokojone i chcą pewnie usłyszeć, co się stało.

— Ja bym im nie opowiadał zbyt wiele — rzekł Holmes. — Kobietom nie można nigdy ufać... nawet najszlachetniejszym.

Nie odpowiedziałem nic na tę złośliwą uwagę.

— Wróć za godzinę, może za dwie — rzekłem.

— Dobrze! Przyjemnej zabawy! Ale słuchaj, zabierz ze sobą Toby'ego i oddaj go po drodze. Zdaje się, że teraz nie będzie nam już potrzebny.

Zabrałem więc kundla i zwróciłem go razem z opłatą dziesięciu szylingów staremu przyrodnikowi na Pinchin Lane. W Camberwell zastałem miss Morstan, wyczerpaną przygodami ubiegłej nocy, żądną jednak wiadomości. Pani Forrester też była bardzo ciekawa. Opowiedziałem im wszystko, czegośmy dokonali, pomijając bardziej wstrząsające

Mizoginia

momenty, między innymi sposób, w jaki pan Sholto został zamordowany. Zresztą pomimo opuszczeń to, co usłyszały, przejęło je do głębi.

— Jak w powieści! — rzekła pani Forrester. — Pokrzywdzona kobieta, półmilionowy skarb, ludożerca i bandyta o drewnianej nodze! To coś na kształt bajeczki o smoku lub okrutnym Kościeju<sup>52</sup>.

— I dwaj błędni rycerze śpieszący z pomocą — dodała miss Morstan, darząc mnie promiennym spojrzeniem.

— Mary, przecież twój majątek zależy od wyniku poszukiwań panów. Za mało się tym przejmujesz. Pomyśl tylko, co to znaczy być bogatą i mieć cały świat u stóp!

Tu serce moje zadrżało z radości: ta olśniewająca perspektywa nie wprowadziła bynajmniej miss Morstan w ekstazę. Przeciwnie, potrząsnęła dumnie główką, jak gdyby cała sprawa była jej najzupełniej obojętna.

— Jestem tylko niespokojna o pana Thaddeusa — rzekła. — Nic mnie poza tym nie obchodzi. Pan Sholto postąpił tak szlachetnie i uczciwie, że obowiązkiem naszym jest uwolnić go od strasznego i nieuzasadnionego podejrzenia, jakie nań padło.

Zapadał już zmierzch, gdy opuszczałem Camberwell. Zanim dotarłem do domu, ściemniło się zupełnie. Książka i fajka leżały przy pustym fotelu Holmesa. Rozejrzałem się po pokoju, myśląc, że znajdę jakąś kartkę. Nie było nic.

— Czy pan Holmes wyszedł? — spytałem pani Hudson, gdy weszła zamykać okiennice.

— Nie. Jest u siebie — Zniżyła głos do tajemniczego szeptu. — Wie pan, boję się o niego...

— Dlaczego?

— Bo pan Holmes jest dzisiaj taki jakiś dziwny. Po wyjściu pana chodził i chodził z dołu na piętro, z góry na dół, do uprzykrzenia. Potem słyszałam, jak mówił coś do siebie i mruczał, a po każdym dzwonku wychodził na schody i pytał: „Co tam?”. Teraz zatrzęsął drzwiami swojego pokoju i słyszę znów, jak chodzi nieustannie. Oby się nie rozchorował! Odważyłam się wspomnieć o jakimś środku uspokajającym, ale spojrzał na mnie takim wzrokiem, że czym prędzej wyszłam z pokoju.

— Myślę, że się pani zbyt niepokoi. Nieraz go takim widywałam. Ma ważną sprawę, stąd taki rozdrażniony.

Starałem się mówić do naszej gospodyni najspokojniejszym tonem, lecz sam się niepokoiłem, kiedy budząc się kilka razy w nocy, cały czas słyszałem głuchy odgłos jego kroków. Wiedziałem dobrze, jak zadręczała go mimowolna bezczynność.

Nazajutrz rano spotkaliśmy się przy śniadaniu. Był blady, oczy miał zapadnięte, na policzkach gorączkowe wypieki.

— Czego się tak dręczysz, mój drogi? — spytałem. — Słyszałem twoje kroki po nocy.

— Nie mogłem spać. Gnębi mnie ta przekłeta sprawa. Niesłychana rzecz, żeby taka głupia przeszkoda włąziła w drogę, gdy wszystko już pokonane! Wiem, co to za ludzie, jaka łódź, wiem wszystko, a mimo to nie mogę ich ująć. Puściłem w ruch wszystkich pomocników i zastosowałem wszelkie środki, jakimi rozporządzam. Całą rzekę przeszkano z obu stron, ale o naszych ptaszkach ani słycho. Pani Smith również nie miała żadnej wiadomości od męża. Gotów jestem przypuścić, że łotry zatopili gdzieś tę całą motorówkę!

— Albo... że pani Smith dała nam fałszywe wskazówki.

— Nie, to wykluczone. Przeprowadziłem śledztwo; istnieje łódź motorowa zgodna z jej opisem.

— Może popłynął w górę rzeki?

<sup>52</sup>Kościej a. Kościej Nieśmiertelny (ros. Кощей Бессмертный) — postać ze wschodniosłowiańskich baśni i podań ludowych; czarny charakter, czarodziej mieszkający w zamku w górach, posiadacz ogromnych skarbów oraz magicznych mocy i substancji, m.in. żywej i martwej wody (pierwsza przywracała do życia umarłych lub bliskich śmierci, druga leczyła rany i pijącym ją zapewniała długowieczność); Kościej był nieśmiertelny, ponieważ miał ukryte poza swym ciałem serce, a dopiero zniszczywszy je można było zabić i samego czarodzieja; poza folklorem postać występuje w literaturze pięknej, w tym m.in. w powieści fantastycznej *Poniedziałek zaczyna się w sobotę* braci Strugackich. [przypis edytorski]

— Rozważałem już i tę możliwość i wysłałem ludzi z poleceniem przeszukania wybrzeży aż do Richmond. Jeśli dziś nie otrzymam żadnych wiadomości, sam jutro wyruszę w drogę i nie będę już szukał motorówki, tylko ludzi. Ale na pewno usłyszymy wkrótce jakąś nowinę.

Nie usłyszeliśmy jednak nic. Nie otrzymaliśmy ani słowa, ani od Wigginsa, ani od innych pomocników. Prawie wszystkie gazety zamieściły artykuły o „Tragedii w Norwood”, i to w tonie przeważnie niezycliwym dla nieszczęśliwego Thaddeusa. Żaden artykuł nie zawierał jednak nowych szczegółów prócz tego, że śledztwo rozpocznie się nazajutrz.

Wieczorem poszedłem do Camberwell, by zawiadomić panie o naszych niepowodzeniach. Po powrocie zastałem Holmesa przygnębionego. Nie odpowiadał prawie na pytania i cały wieczór zajęty był jakąś zawiłą analizą chemiczną. Ogrzewał retorty, destylował płyny o tak silnej woni, że omal nie uciekłem z mieszkania. Do świtu słyszałem brzęk probówek, co dowodziło, że Holmes przez całą noc robił doświadczenia.

Wczesnym rankiem zerwałem się nagle i ze zdumieniem ujrzałem Holmesa przy swoim łóżku. Miał prosty strój marynarza: szarą kurtkę i zniszczony czerwony szalik na szyi.

— Idę nad rzekę — rzekł. — Rozważyłem już wszystko i widzę tylko jedno wyjście. W każdym razie muszę spróbować.

— Mogę iść z tobą? — spytałem.

— Nie. Będziesz dużo użyteczniejszy tu, jako mój przedstawiciel. Idę niechętnie, gdyż według wszelkiego prawdopodobieństwa w ciągu dnia nadejdzie jakaś wiadomość, choć Wiggins stracił już nadzieję. Podczas mojej nieobecności otwieraj wszystkie listy i telegramy, a w razie jakichś nowych wiadomości postępuj według swego uznania. Mogę na tobie polegać?

— Najzupełniej.

— Obawiam się, czy będziesz mógł komunikować się ze mną. Nie mogę ci nawet powiedzieć, gdzie mnie szukać. Jeśli mi szczęście posłuży, nie pójdę daleko. W każdym razie nie powrócę bez wiadomości.

Przy śniadaniu zabrałem się do czytania „Standardu” i znalazłem tam nową wzmiankę o naszej sprawie.

Mamy powody przypuszczać — pisano — że tragedia w Upper Norwood jest bardziej zawiłana i tajemnicza, niż się początkowo zdawało. Nowe materiały wykazują, że pan Thaddeus Sholto jest stanowczo niewinny. Zarówno on, jak i pani Bernstone zostali wczoraj wieczorem wypuszczeni na wolność. Policja ma już pewne dane co do faktycznych przestępstw. Pan Athelney Jones ze Scotland Yardu ściga ich z właściwą sobie energią i bystrością. Lada chwila można spodziewać się nowych aresztowań.

„Dobre na razie i to — pomyślałem. — Sholto jest już przynajmniej bezpieczny. Ciekawym, co to za nowe dane... Czy to aby nie stereotypowy zwrot dziennikarski, ilekroć policja palnie byka...”

Odłożyłem dziennik i w tejże chwili spostrzegłem w nim następujące ogłoszenie:

#### ZAGINIONY

Mordechaj Smith, przewoźnik, z synem Jimem odplynęli z przystani Smitha około godziny trzeciej nad ranem w ubiegły czwartek na łodzi parowej „Aurora”, czarnej z dwoma czerwonymi pasami, komin czarny z białym pasem. Pięć funtów szterlingów nagrody wyznacza się za dostarczenie pani Smith lub na Baker Street 221 b wiadomości, gdzie znajduje się wymieniony Mordechaj Smith i łódź „Aurora”.

Ogłoszenie dał Holmes, dowodził tego nasz adres. Pomysł wydał mi się doskonały, gdyż zbiegowie, czytając, mogli nie dopatrzeć się niczego prócz zwykłej obawy żony o zaginionego męża.

Dzień dłużył mi się. Za każdym pukaniem do drzwi lub echem kroków z ulicy miałem wrażenie, że Holmes powraca lub że przynoszą odpowiedź na jego ogłoszenie. Usiłowałem coś czytać, lecz moje myśli powracały wciąż do sprawy ściganych przez nas ludzi.

Zastanawiałem się więc nad tym, czy wywody przyjaciela mają istotnie jakąś realną podstawę? Czy nie ulegał złudzeniu? Czy jego teoretyczny umysł nie zbudował hipotezy na



falszywych przesłankach? Nie przekonałem się dotąd o jego omylności. Najlepszy jednak filozof może się czasem omylić.

Mógł zejść na manowce skutkiem prerafinowanej logiki, uciekania się do wyjaśnień zbyt subtelnych i dziwacznych, podczas gdy miał pod ręką prostsze i zwyklesze. Z drugiej strony jednak widziałem dowody, byłem świadkiem jego dedukcji. Przebiegając myślą długi łańcuch interesujących okoliczności wiodących do tego samego celu, nie mogłem ukryć podziwu dla trafności teorii Holmesa, pomimo niedokładności jego poszczególnych wyjaśnień. O trzeciej po południu usłyszałem dzwonek, po chwili donośny głos w hallu i niebawem wszedł, ni mniej, ni więcej, tylko sam pan Athelney Jones. Niewiele w nim jednak zostało z energicznego i pewnego siebie mentora zdrowego rozsądku, który z taką ufnością we własne siły zabrał się do sprawy w Upper Norwood. Był przygnębiony i nieśmiały.

— Dzień dobry panu — rzekł. — Słyszę, że pana Holmesa nie ma w domu.

— Tak, wyszedł i nie wiem nawet, kiedy wróci. Może pan jednak zaczeka? Proszę, niech pan siada i zapali.

— Dziękuję, nie będę palił — odparł, ocierając spoconą twarz czerwoną chustką.

— A może whisky z wodą sodową?

— Owszem, pół szklaneczki. Za gorąco jest jak na tę porę roku, a ja mam tyle biegania i kłopotów! Zna pan moje zapatrywania na sprawę w Norwood?

— Przypominam sobie.

— Otóż byłem zmuszony je zmienić. Zarzuciłem sieci na pana Sholto i byłem już pewny, że go trzymam, aż tu naraz wymknął się na dobre! Zdołał dowieść swego alibi: od chwili, gdy wyszedł z pokoju brata i wrócił do siebie, zawsze go ktoś widział. Nie on zatem wlaźł na dach i do pokoju przez otwór w suficie. Sprawa jest bardzo ciemna, a chodzi tu o moją opinię zawodową. Byłbym bardzo wdzięczny za wszelką pomoc.

— Wszyscy czasem potrzebujemy pomocy — rzekłem.

— Pański przyjaciel, Holmes, to człowiek niezwykle — mówił Jones przyciszonym głosem. — Niełatwo go pokonać. Widziałem go nieraz przy pracy, a nie było sprawy, której nie zdołałby wyjaśnić. Nie posiada wprawdzie systematycznej metody pracy i zbyt pochopnie tworzy teorie, ale byłby z niego bardzo dobry śledczy. Przysłał mi dziś rano depeszę, z której wnioskuję, że znalazł jakiś wątek sprawy Sholto. Oto depesza.

Wyjął z kieszeni dokument i podał mi. Depesza była z godziny dwunastej z Poplar.

Udać się natychmiast na Baker Street — czytałem. — Jeśli mnie jeszcze nie będzie, czekać. Jestem na tropie zabójców Sholta. Może pan towarzyszyć nam dziś wieczorem, jeśli zechce pan uczestniczyć w zakończeniu.

— Niezła nowina. Widocznie odnalazł ślad — rzekłem.

— Aha, więc i on się pomylił! — zawołał Jones z widocznym zadowoleniem. — Nawet najbystrzejszy niekiedy błądzi. Oczywiście i to może się okazać fałszywym alarmem, ale obowiązkiem moim jako przedstawiciela prawa jest nie opuszczać żadnej sposobności. Ktoś idzie, jeśli się nie mylę. Może Holmes.

Istotnie na schodach rozlegał się odgłos ciężkich kroków i sapanie astmatyka. Idący zatrzymywał się w drodze, ale w końcu zapukał i wszedł. Wygląd jego odpowiadał w zupełności odgłosom, jakie nas dobiegały. Przybyły był człowiekiem w podeszłym wieku, ubranym po marynarzku w starą kurtkę zapiętą pod szyję. Plecy miał zgarbione, kolana ugięły się pod nim, oddychał z trudnością. Przystanął, oparł się na grubej dębowej lasce i z wysiłkiem wciągał powietrze. Na szyi miał kolorowy szalik, którym osłonił dolną część twarzy i podbródek, tak że z wyjątkiem bystrych oczu pod krzaczastymi, siwymi brwiami i długich siwych bokobrodów niewiele było widać. Zrobił na mnie wrażenie solidnego starszego marynarza, który zubożał.

— Czego chcecie, przyjacielu? — spytałem.

Obejrzał się z wolna dokoła, jak zwykle robią ludzie starzy.

— Czy pan Holmes w domu? — zapytał.

— Nie, ale ja go zastępuję. Możecie mi powiedzieć, o co wam chodzi.

— Mam to powiedzieć samemu panu Holmesowi — rzekł.

— Ależ mówię, że go zastępuję. Czy to w sprawie statku Mordechaja Smitha?

— Tak. Wiem dobrze, gdzie jest, i wiem, gdzie są ludzie, których pan Holmes szuka, wiem, gdzie jest skarb. Wiem wszystko.

— Powiedźcie więc, ja powtórzę panu Holmesowi.

— Kiedy ja to chciałem powiedzieć osobiście — rzekł znów z niedorzecznym starym uporem.

— W takim razie musicie poczekać.

— Co to, to nie... nie myślę tracić całego dnia dla czyjejs fantazji! Jeśli pana Holmesa nie ma, to niech sobie sam wszystko wysledzi. Nie podoba mi się pan, nie dowierzam panu i nie powiem ani słowa.

Zawrócił ku drzwiom, ale Athelney Jones zagroził mu drogę.

— Poczekajcie no, przyjacielu — rzekł. — Macie ważne wiadomości, nie możecie więc stąd odejść. Zatrzymujemy was, choćby siłą, do powrotu pana Holmesa.

Stary rzucił się ku drzwiom, ale gdy Athelney Jones oparł o nie swe szerokie plecy, marynarz uznał bezcelowość dalszego sprzeciwu.

— Ładnie się obchodzicie z ludźmi! — krzyknął, stukając kijem o podłogę. — Przychodzę, żeby rozmówić się z przyzwoitym człowiekiem, a tu jakieś przybłędy, których w życiu nie widziałem, chwytają mnie i tyranizują.

— Nie stanie się wam żadna krzywda — rzekłem. — Wynagrodzimy wam stratę czasu. Siadajcie ot tu, na kanapie. Nie będziecie czekali bardzo długo.

Z widoczną złością, nachmurzony, stary usiadł na sofie i wsparł głowę na dłoniach. Zapaliliśmy cygara i powróciliśmy do przerwanej rozmowy. Nagle w pokoju rozległ się głos Holmesa.

— Moglibyście mnie poczęstować cygarem.

Porwaliśmy się na równe nogi. Holmes siedział wielce ubawiony.

— Holmes! — zawołałem. — Skąd się tu wziąłeś? Gdzie ten stary?

— Masz go tu — rzekł, pokazując mi pęk siwych włosów. — Peruka, bokobrody, brwi... wszystko. Wiedziałem, że przebranie jest niezłe, ale ani przypuszczałem, że wytrzyma taką próbę.

— Figlarz z pana! — zawołał Jones zachwycony. — Byłby z pana ładny kawał aktora! Naśladować tak znakomicie kaszel starowiny z przytułku! A pańskie sfatygowane nogi też świetnie były zrobione! Zdaje mi się jednak, że poznałbym pana po tym błysku w oczach. Ale co, przekonał się pan, że niełatwo nam uciec.

— Pracowałem w tym przebraniu cały dzień — rzekł Holmes, zapalając cygaro. — Zaczynają mnie już rozpoznawać w przestępczym świecie, zwłaszcza od czasu, jak doktor Watson zabrał się do opisywania niektórych moich spraw. Tylko w przebraniu mogę jeszcze jako tako pracować. Otrzymał pan depezę?

— Otrzymałem. Dlatego przyszedłem.

— No i cóż tam słyhać z pańskim śledztwem?

— Kiepsko, po prostu... nici. Musiałem zwolnić dwóch aresztowanych, a przeciw dwóm pozostałym brak mi dowodów.

— Mniejsza o to. Dam panu dwóch innych na to miejsce, ale musi się pan zastosować do moich rozkazów. Ufam w pańskie zdolności zawodowe, ale tym razem będzie pan działał według moich wskazówek. Zgoda?

— Dobrze, niech mi pan tylko pomoże w schwytaniu zbrodniarzy.

— A więc dobrze. Przede wszystkim będzie mi potrzebna łódź policyjna... motorowa... musi być o siódmej na przystani Westminster Stairs<sup>53</sup>.

— Nic łatwiejszego. Stoi tam zawsze nasza łódź, mogę jednak jeszcze zatelefonować dla pewności.

— Będę też potrzebował dwóch tęgich chłopów na wypadek oporu.

— Będzie ich kilku. Co dalej?

— Gdy schwytamy zbrodniarzy, będziemy mieli i skarb. Mój przyjaciel z przyjemnością zanieś go młodej osobie, do której połowa prawnie należy. Niech ona pierwsza otworzy szkatułkę. Co, Watsonie?

— Sprawi mi to prawdziwą przyjemność.

<sup>53</sup> *Westminster Stairs* — dosł.: schody westminsterskie, dawne główne zejście z budynku Opactwa Westminsterskiego w Londynie do Tamizy, w pobliżu dzisiejszego mostu Westminster Bridge. [przypis edytorski]

— Niezbyt legalny sposób postępowania — rzekł Jones, kręcąc głową. — Cała sprawa jednak jest niezwykła i musimy patrzeć na to przez palce. Trzeba będzie potem przekazać skarb władzom, aż do zakończenia oficjalnego śledztwa.

— Oczywiście. To się rozumie. A teraz jeszcze jedno. Chciałbym bardzo usłyszeć niektóre szczegóły tej sprawy z ust samego Jonathana Smalla. Jak pan wie, lubię opracowywać wszelkie rzeczy drobiazgowo. Czy pozwoli mi pan rozmówić się z nim prywatnie tu, u mnie, albo gdziekolwiek indziej pod warunkiem, rzecz prosta, że będzie odpowiednio pilnowany?

— A no, cóż robić, jest pan panem sytuacji. Nie miałem jeszcze dowodów istnienia tego Jonathana. Jeśli jednak pan go złapie, nie będę mógł panu zabronić pomówienia z nim.

— A więc rzecz załatwiona?

— Najzupełniej. Ma pan jeszcze jakieś życzenia?

— Jeszcze jedno: zjedźmy razem obiad. Będzie gotów za pół godziny. Mam ostrygi, cietrzewie i niezłe wino... Watsonie, nie miałeś nigdy okazji docenić moich zalet jako gospodarza.

## X. ŚMIERĆ WYSPIARZA

Obiad upływał nam wesoło. Holmes rozmawiał zajmująco. Był widocznie podniecony nerwowo. Nie widziałem go jeszcze w tak świetnym humorze. Mówił o wszystkim: o garnkarstwie, teatrze, skrzypcach Stradivarius<sup>54</sup>, buddyzmie, okrętach wojennych przyszłości — i to z taką znajomością rzeczy, jakby każdy przedmiot specjalnie studiował. Humor jego był reakcją po dotychczasowym przygnębieniu.

Athelney Jones spożywał obiad z miną smakosza. Okazało się, że jest dobrym kompanem w chwilach wolnych od zawodowych zajęć. Co do mnie, na myśl, że zbliżyliśmy się ku końcowi zadania, ogarniało mnie podniecenie. Udzieliła mi się po trosze wesołość Holmesa. Żaden z nas nie wspomniał ani słówkiem o sprawie.

Gdy sprzątnięto ze stołu, Holmes spojrział na zegarek i podał trzy szklanki portwenu<sup>55</sup>.

— Za powodzenie wyprawy — rzekł. — Najwyższy czas ruszyć już w drogę. Watsonie, masz pistolet?

— Mam w biurku stary służbowy rewolwer.

— Weź go ze sobą. Dobrze jest być przygotowanym na wszelkie ewentualności. Dorożka stoi już przed bramą.

Było trochę po siódmej, gdy zajechaliśmy na przystań. Łódź czekała. Holmes obejrzał ją krytycznym okiem i zapytał:

— Czy jest jakiś znak, po którym można poznać, że to łódź policyjna?

— A jakże, zielona latarka z boku.

— W takim razie trzeba ją zdjąć.

Po zdjęciu latarki weszliśmy na pokład. Odwiązano liny. Jones, Holmes i ja usiedliśmy w tyle, jeden człowiek był przy sterze, drugi pilnował kotła, a dwóch barczystych policjantów zajęło miejsce na przodzie łodzi.

— Dokąd jedziemy? — spytał Jones.

— Pod Tower<sup>56</sup>. Każ im pan stanąć naprzeciw doku Jacobsona.

Łódź posuwała się szybko. Mijaliśmy długie szeregi naładowanych barek, tak szybko, że miało się wrażenie, jak gdyby stały na miejscu. Holmes uśmiechnął się z zadowoleniem, gdy prześcignęliśmy duży parowiec, pozostawiając go daleko w tyle.

— Możemy chyba prześcignąć każdy statek — rzekł.

— Nie wiem, ale mało jest łodzi, które mogłyby się z nami zmierzyć.

— Musimy złapać „Aurorę”, chociaż ma sławę niezmiernie szybkobieżnej. Watsonie, powiem ci, jak rzeczy stoją. Przypominasz sobie, jaki byłem podniecony?

<sup>54</sup>Stradivarius, właśc. *Antonio Stradivari* (1643 lub 1644–1737) — włoski mistrz lutniczy z Cremony, jeden z najwybitniejszych budowniczych instrumentów w historii. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>portwein (z niem.) — czerwone mocne wino portugalskie. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>Tower of London (ang.: wieża londyńska) — budowla wzniesiona jako twierdza obronna i siedziba monarchów Anglii; słynęła przez wieki jako pilnie strzeżone więzienie (i skarbiec), do którego dostęp był jedynie od strony rzeki. [przypis edytorski]

— Pamiętam.

— Otóż pozwoliłem sobie wypocząć, zatapiając się w analizie chemicznej. Jeden z naszych największych mężów stanu powiedział, że zmiana rodzaju pracy daje najlepszy wypoczynek. Zgadzam się z tym zupełnie. Gdy udało mi się rozpuścić węglowodór, powróciłem do sprawy Sholto i rozważyłem ją od nowa. Moi chłopcy przeszukali rzekę bez skutku. Nigdzie nie znaleźli „Aurory” i przekonali się, że nie wróciła. Ale zbiegowie nie mogli jej przecież zatopić dla zatarcia śladów, choć będzie to jedyna prawdopodobna hipoteza, jeśli wszystko inne zawiedzie. Wiem, że ten Small jest dość przebiegły, ale nie posądzam go o wyrafinowanie... Wyrafinowanie bywa wytworem wyższego wykształcenia. Zastanawiając się, doszedłem do przekonania, że skoro Small bawił przez pewien czas w Londynie — mieliśmy bowiem dowody, że pilnował nieustannie Pondicherry Lodge — to chcąc opuścić miasto, musiał zużyć nieco czasu na uporządkowanie swoich interesów. Nie mógł wyjechać raptownie. Takie przynajmniej nasuwa się przypuszczenie.

— Nie powiem. Bardziej prawdopodobne, że zlikwidował swoje interesy przed udaniem się na wyprawę — rzekłem.

— Nie, nie sędzę. Nie mógł przewidzieć, że mu się uda. Ale jest tu inna zastanawiająca okoliczność. Jonathan Small musiał się domyślać, że niezwykła postać jego towarzysza nawet w starannym przebraniu musi zwrócić uwagę i dać powód do gadaniny i domysłów, mogących mieć związek z tragedią w Norwood. Jest na tyle sprytny, że podobne przypuszczenia musiały mu się same nasunąć. Wyruszyli więc na przespiegi pod osłoną ciemności i Small chciał wrócić przede dniem. Że zaś według pani Smith było już po trzeciej w nocy, gdy wsiedli na motorówkę, więc najpóźniej po godzinie był już dzień i ludzie zaczęli się budzić. Wnoszę więc, że nie popłynęli daleko. Dobrze zapłacili Smithowi, żeby trzymał język za zębami, zatrzymali łódź, potrzebną im do ostatecznej ucieczki, i zabrawszy szkatułkę, udali się do mieszkania. Dzisiaj zaś, gdy już widzą, co piszą dzienniki i w jakim kierunku władze skierowały podejrzenia, powinni by znów pod osłoną ciemności ruszyć w drogę i dotrzeć do okrętu w Gravesend lub Dover, gdzie niewątpliwie zamówili sobie zawczasu bilety do Ameryki lub kolonii.

— A motorówka?... Nie mogli jej przecież zabrać ze sobą do swojej kwatery!

— Oczywiście. Myślę, że jest tu gdzieś niedaleko. Wyobraziłem sobie, że jestem Smallem i wysnułem plan, jaki ułożyłby niewątpliwie człowiek o jego poziomie umysłowym. Otóż człowiek ten uważałby prawdopodobnie, że odesłanie motorówki lub zatrzymanie jej w przystani ułatwiłoby pościg policji. Jakże więc łódź ukryć, a mimo to mieć ją w razie potrzeby pod ręką? Zastanawiałem się, co bym zrobił, gdybym znalazł się w jego położeniu, i doszedłem do wniosku, że jest tylko jedno wyjście: oddać motorówkę do warsztatu pod pretekstem drobnego remontu. Wówczas łódź byłaby faktycznie ukryta, a zarazem gotowa na każde zawołanie.

— To bardzo proste.

— Otóż tych bardzo prostych rzeczy można niesłychanie łatwo nie dostrzec. Postanowiłem działać w myśl własnego planu. Wybrałem się w prostym stroju marynarza i informowałem się we wszystkich dokach w dole rzeki. W szesnastym z rzędu, u Jacobsona, dowiedziałem się, że dwa dni temu otrzymali „Aurorę” od człowieka z drewnianą nogą, który polecił naprawić coś przy sterze. „Nie wiem czego właściwie chciał — mówił majster — ster jest w zupełnym porządku. O, ma pan tam «Aurorę»... ta z czerwonymi pasami”. W tej chwili nadszedł Mordechaj Smith. Był w stanie niezbyt trzeźwym. Nie byłbym go poznał, gdyby nie to, że wrzasnął na całe gardło swoje nazwisko i nazwę statku. „Potrzebny mi dziś na ósmą wieczór — zapowiadał — punkt ósma, pamiętajcie, bo mam dwóch panów, którzy nie będą czekać!” Zapłacili mu widać dobrze, pokazywał bowiem pieniądze pracującym robotnikom. Szedłem za nim w pewnym oddaleniu. Niebawem znikł w drzwiach piwiarni. Powróciłem do doku. Po drodze spotkałem jednego z moich chłopców i postawiłem go na straży. Powinien stać nad wodą i dać nam znak chustką, gdy zbiegowie odbiją od brzegu. Niepodobna wobec tego, żebyśmy ich nie złapali.

— Świetnie pan to wszystko ułożył, pytanie tylko, czy to właśnie ci, których szukamy — zauważył Jones. — Gdyby ta sprawa była w moich rękach, ulokowałbym w doku Jacobsona oddział policji i aresztowałbym bandytów w chwili powrotu.

— Do tego by nie doszło. Ten Small jest zanadto przebiegły. Niewątpliwie wyśle kogoś na zwiady, a jeśli najmniejsza błahostka zbudzi w nim podejrzenie, ukryje się znowu na tydzień.

— Mogłeś się przecież trzymać tego Smitha, zaprowadziłby cię niechybnie do ich kryjówki.

— Straciłbym cały dzień na próżno. Stawiam sto przeciw jednemu, że Smith nie wie, gdzie oni mieszkają. Dopóki ma wódkę i pieniądze, nie zadaje żadnych pytań. Posyłam mu tylko zlecenia, co ma robić. Nie, rozważyłem wszelkie możliwe sposoby postępowania i ten wydał mi się najlepszy.

Rozmawiając tak, mijaliśmy szybko długi szereg mostów wznoszących się nad Tamizą. Gdy zbliżaliśmy się do City, ostatnie promienie słońca złożyły krzyż na szczycie katedry św. Pawła<sup>57</sup>. Zmierzch zapadł, zanim dopłynęliśmy pod Tower.

— Oto doki Jacobsona — rzekł Holmes, wskazując stopy masztów i lin na wybrzeżu od strony Surrey. — Zwolnimy biegu i spróbujmy krążyć ostrożnie pod osłoną tych barek.

Wyjął z kieszeni lornetę i lustrował wybrzeże.

— Widzę swoją straż na stanowisku — zauważył po chwili — ale znaku chustką nie dostrzegam.

— A może byśmy tak popłynęli jeszcze kawałek w górę i tam na nich zaczekali? — rzekł Jones zniecierpliwiony.

W tej chwili byliśmy wszyscy zniecierpliwieni, nawet policjanci i palacze, którzy zaczęli się domyslać, o co chodzi.

— Niczego nie możemy być zupełnie pewni — powiedział Holmes. — Założę się, że płyną w dół rzeki, przysięgać jednak nie będę. Z tego miejsca możemy widzieć wejście do doków, ale oni chyba nas nie dostrzegą. Noc będzie pogodna, światła wszędzie pełno. Musimy tu pozostać. Patrzcie, jak się tam roi od ludzi w świetle latarni.

— To robotnicy z doków.

— Wyglądają jak ostatnie łotry, sądzą jednak, że każdy ma w sobie iskrę nieśmiertelności. Patrząc na nich, nikt by tego nie powiedział. Nic tego nie zdradza. Człowiek to szczególnie zagadka!

— Ktoś określił człowieka jako duszę zamkniętą w zwierzęciu — wtrąciłem.

— Wywody Winwooda Reade'a na ten temat są słuszne — rzekł Holmes. — Człowiek jest zdumiewającą zagadką, niemożliwą do rozwiązania, ale w tłumie staje się za to wprost pewnikiem matematycznym. Nie można na przykład nigdy przewidzieć, jak postąpi jednostka, ale najdokładniej przewidzieć można, co uczyni tłum... Ale patrz, patrz, czy to nie chustka do nosa? Tam stanowczo powiewa coś białego.

— Tak, to twój chłopak — powiedziałem — widzę go doskonale.

— A oto i „Aurora” — rzekł Holmes. — Pędzi jak szalona! Cała naprzód! — zwrócił się do mechanika. — Pełną parą za tym statkiem z żółtą latarnią! Nie daruję sobie, jeśli nam się wymknie!

„Aurora” wysunęła się niepostrzeżenie z doku, przepłynęła między barkami i była już prawie na pełnej prędkości. Pędem sunęła w dół rzeki, cały czas blisko brzegu. Jones patrzył za nią poważnie, kręcąc głową.

— Wątpię, czy ją dogonimy — rzekł wreszcie — pędzi niesłychanie szybko.

— Musimy dopędzić! — wycedził Holmes przez zaciśnięte zęby. — Prędej, prędej!... Palacze, róbcie, co się da! Nie żałujcie węgla! Choćby kocioł miał eksplodować, musimy ich schwytać!...

Z pieca buchało. Świsł i chrzęst maszyny potężniał niby bicie olbrzymiego metalowego serca. Ostry dziób pruł cichą toń, odrzucając duże fale na boki. Żółta latarnia na maszcie rzucała długi, migocący snop światła. Na prawo ciemna plama na wodzie wskazywała nam „Aurorę”, a kłębiąca się za nią piana świadczyła, jak szybko płynie. Mijaliśmy barki, parowce, statki handlowe, okrążając jedne, przesuając się między innymi. Z ciem-

Kondycja ludzka

Tłum

Ucieczka

<sup>57</sup>katedra św. Pawła w Londynie — jedna z najbardziej charakterystycznych budowli Londynu; wzniesiona w stylu barokowo-klasycystycznym, na planie krzyża, zwieńczona monumentalną kopułą; jej wysokość mierzona do końca krzyża na kopule wynosi 111 m. [przypis edytorski]

ności odzywały się głosy ostrzegawcze, a „Aurora” pędziła niepowstrzymanie. Zdążyliśmy niezmordowanie jej śladem.

— Dorzucajcie węgla! Dorzucajcie! — krzyczał Holmes, zaglądając na dół do maszyn, skąd padał purpurowy blask na jego wzburzoną twarz. — Całą siłą pary! Ostro!

— Zdaje się, że trochę się zbliżamy — rzekł Jones, nie spuszczać z oczu „Aurory”.

— Jestem pewny — rzekłem. — Za kilka minut ją dogonimy.

W tej chwili jakby za sprawą złośliwego fatum wjechał między nas holownik z dwiema barkami i tylko dzięki zręcznemu zwrotowi uniknęliśmy zderzenia. „Aurora” zyskała dobre dwieście jardów<sup>58</sup>. Niemniej widzieliśmy ją jeszcze wyraźnie. Ponury zmierzch ustępował jasnej, gwiaździstej nocy.

Pędziliśmy. Kotły rozpalone były do ostateczności. Łódź drżała i trzeszczała pod naporem potężnej siły, która pchała nas naprzód. Lotem błyskawicy przepłynęliśmy obok doków Zachodnio-Indyjskich, wzdłuż Deptford Reach i znowu w górę rzeki, okrążywszy Isle of Dogs.

Czarna plama przed nami przybierała coraz wyraźniej kształty „Aurory”. Jones skierował na nią reflektor. Widzieliśmy wyraźnie postacie na pokładzie. Jakiś mężczyzna siedział przy sterze pochylony, trzymając na kolanach coś czarnego. Obok leżała jakaś ciemna masa, podobna z daleka do wielkiego psa nowofundlandzkiego. Ster trzymał chłopiec, a w czerwonym blasku paleniska dostrzegłem starego Smitha, obnażonego do pasa i dorzucającego węgla do ognia. Zrazu mogli mieć pewne wątpliwości, czy ich istotnie ścigamy, ale teraz, gdy naśladowaliśmy każdy ich zwrot, wszelki cień wątpliwości został rozwiązany.

Pod Greenwich byliśmy o jakieś trzysta jardów za nimi. Pod Blackwell dzieliło nas już tylko dwieście pięćdziesiąt jardów. Polowałem w różnych krajach na różnego zwierza w okresie służby wojskowej, nigdy jednak nie doznałem takich wrażeń, jak podczas tego szalonego pościgu po Tamizie. Dzieląca nas odległość stale się zmniejszała. Jard po jardzie. W nocnej ciszy dobiegał nas już stuk i turkot ich maszyny. Ich sternik siedział pochylony, jak gdyby czymś zajęty. Od czasu do czasu podnosił wzrok i mierzył dzielącą nas odległość. Zbliżyliśmy się coraz bardziej. Jones krzyknął: „Stój!”. Byli wówczas oddaleni na długość czterech łodzi. Pędziliśmy z szaloną szybkością między Barking Level a melancholijnymi bagnami Plumstead.

Na krzyk Jonesa sternik zerwał się i pogroził nam pięściami, klnąc ochryplym głosem. Był to mężczyzna rosły, barczysty. Stał wyprostowany. Dostrzegłem, że na miejscu prawej nogi ma drewniany kikut. Na dźwięk jego przeraźliwych okrzyków poruszyła się ciemna masa, zwinięta w kłęb na pokładzie, i w jednej chwili ujrziałem małego, czarnego mężczyznę o wielkiej, niekształtnej głowie i gęstej czuprynie kędzierzawych włosów. Holmes trzymał już rewolwer w rękę, ja również dobyłem broń na widok tej dzikiej, skoślawionej istoty. Postać ta owinięta była w ciemny płaszcz czy koc, tak że widać było tylko twarz. Lecz to już wystarczyło, aby przyprawić człowieka o bezsenność. Nie widziałem nigdy rysów tak straszliwie napiętnowanych zwierzęcością i okrucieństwem. Małe oczka gorzały złowrogim blaskiem, a spoza grubych, rozchylonych warg połyskiwały wyszczerzone ze zwierzęcą dzikością potężne zębiska.

— Jeśli tylko podniesie rękę, strzelaj — rzekł Holmes spokojnie.

Dzieliła nas zaledwie długość jednej łodzi. Zdobycz nie mogła nam ujsć. Widziałem wyraźnie białego, stojącego z szeroko rozstawionymi nogami, klnącego na czym świat stoi i piekielnego karła z ohydłą twarzą, szczerzącego na nas żółte, zwierzęce kły.

Całe szczęście, że widzieliśmy go tak dokładnie, bo w tejsze chwili dobył spod okrycia krótki, okrągły kawałek drewna i przytknął go do ust. Rewolwery nasze huknęły jednocześnie. Karzeł okręcił się, zatrzepotał rękami i krztusząc się, spadł do rzeki. Uchwyciłem ostatnie jadowite spojrzenie jego strasznych oczu, zanim zniknął pod wodą.

Widząc to, człowiek o drewnianej nodze rzucił się do steru i skręcił prosto na południowe wybrzeże, tak że w rozpędzie ominęliśmy jego motorówkę. Zawróciliśmy niezwłocznie, ale on dosięgnął już brzegu. Panowała tu zupełna pustka. Blask księżycy oświetlał rozległe bagnisko. Tu i ówdzie migotała kałuża lub sterczał zabłąkany krzak zieleni. Łódź z głuchym warkotem zaryła się w błotnisty grunt.

<sup>58</sup>jard — anglosaska miara długości, równa trzem stopom i wynosząca ok. 0,9 metra. [przypis edytorski]

Zbieg zeskoczył z pokładu, lecz drewniana noga ugrzęzła w rozmięklej ziemi. Na próżno usiłował ją wydobyć — nie mógł się ruszyć z miejsca. Zawył z bezsilnej wściekłości i jak szalony kopał grunt drugą nogą, ale drewniany kolek coraz głębiej zapadał w błoto. Dobiwszy do brzegu, musieliśmy zarzucić zbiegowi linę dokoła pasa i dopiero w ten sposób wydobyliśmy go z trzęsawiska i zaciągnęliśmy jak wielką, niebezpieczną rybę na pokład.

Obaj Smithowie, ojciec i syn, siedzieli zasępieni, ale przeszli posłusznie na nasz pokład. „Aurorę” umocowaliśmy do rufy naszej łodzi. Na pokładzie motorówki Smitha stała solidna żelazna szkatułka hinduskiej roboty. Nie ulegało wątpliwości, że zawierała słynny skarb Sholtów. Klucza nie było. Przenieśliśmy ją do naszej małej kabiny. Ważyła niemało. Wyruszywszy w powrotną drogę, rzucaliśmy reflektorem światło we wszystkich kierunkach, nie dostrzegliśmy jednak nigdzie śladu wyspiarza. Gdzieś na dnie Tamizy w brudnym szlamie spoczywają śmiertelne szczątki tego egzotycznego przybysza z dalekich krain.

— Patrz! — rzekł nagle Holmes, wskazując na pokład opodał steru. — Strzeliliśmy w sam czas.

Tkwiała tam jedna z owych znanych nam dobrze morderczych strzałek. Widocznie świsnęła między nami w chwili naszych strzałów rewolwerowych. Holmes uśmiechnął się i lekceważąco wzruszył ramionami, ale wyznaje, że dreszcz wstrząsnął mną na myśl o okropnej śmierci, która otarła się o nas tej nocy...

## XI. WIELKI SKARB AGRY

Jeniec siedział w kabinie naprzeciw żelaznej szkatułki, która kosztowała go tyle poświęceń. Był to człowiek ogorzały od słońca, o niespokojnym spojrzeniu. Pomarszczona twarz o miedzianej barwie świadczyła o ciężkim życiu spędzonym na świeżym powietrzu. Wydatny podbródek, widoczny mimo brody, zdradzał człowieka niełatwo dającego się odwieść od powziętego postanowienia. Mógł mieć lat około pięćdziesięciu, gdyż jego czarne, kędzierzawe włosy przyprószyła siwizna. W ogóle nie można powiedzieć, by twarz ta była antypatyczna, ale gęste brwi i agresywny podbródek w chwili gniewu nadawały jej wyraz straszny.

Siedział teraz ze skutymi rękoma, z głową zwieszoną na piersi, wzrok utkwiony miał w szkatułce, przyczynie swych występków. Nieruchoma, przygnębiona postawa Smalla wyrażała raczej smutek niż gniew. Raz jednak spojrzął na mnie jakby z błyskiem wesołości w małych, bystrych oczach.

— Przykro mi doprawdy, Jonathanie Small, że rzeczy zaszły aż tak daleko — ozwał się Holmes, zapalając cygaro.

— I mnie również — odparł szczerze Small. — Myślę, że się już z tego nie wykręczę. Przysięgam panu, że nie podniosłem ręki na pana Sholto. To ten pies z piekła rodem, ten Tonga wystrzelił w niego zatrutą strzałę. Nie chciałem tego wcale. Zmartwiłem się, jakby to był mój krewny. Wygarbowałem też dobrze skórę temu czarnemu diabłu, ale co się stało, odstać się już nie mogło...

— Zapalcie no — rzekł Holmes, podając mu cygaro — i weźcie łyk z mojej piersiówki, bo jesteście zupełnie przemoczeni. Powiedzcie mi, jak mogliście przypuszczać, że taki mały słaby człowiek, jak Tonga, pokona pana Sholto i zatrzyma go, póki nie wejdziecie po linie?

— Pan mówi, jakby pan był przy tym. Co prawda, spodziewałem się, że w pokoju nikogo nie będzie. Znałem dość dobrze warunki i zwyczaje miejscowe i wiedziałem, kiedy Sholto schodzi na kolację. Nic nie ukrywam. Najlepszą obroną będzie wyznanie prawdy. Gdyby to był stary major, z lekkim sercem poszedłbym za niego na szubienicę. Nie zastanawiałbym się nad zabiciem go więcej niż nad wypaleniem cygara. Ale ciężko pomyśleć, że ten młody, z którym nie miałem nigdy najmniejszego zatargu... Psi los!

— Jesteście pod dozorem pana Jonesa ze Scotland Yardu. Przyprowadzi was do mojego mieszkania. Zażądam od was wyznania całej prawdy. Musicie powiedzieć wszystko; jeśli nic nie ukryjecie, będę mógł wam pomóc. Zdołam, zdaje się, dowieść, że ta trucizna działa tak szybko, iż pan Sholto już nie żył, gdy weszliście do pokoju.

— Tak właśnie było, proszę pana. Jak żyję, nie przeraziłem się tak, jak w chwili, gdy wlaższy przez okno, spostrzegłem jego wykrzywioną twarz i głowę przechyloną na ramię. Zdrętwiałem. Byłbym chyba zabił Tonga, gdyby nie był uciekł na dach. Dlatego zostawił maczugę i strzały, które pomogły panu w odnalezieniu naszych śladów, chociaż nie pojmuję, w jaki sposób w ogóle wpadł pan na nasz trop. Nie mam żalu, ale niewesoło pomyśleć — dodał z gorzkim uśmiechem — że mając pełne prawo do pół miliona funtów, spędziłem połowę życia na budowaniu grobli na Andamanach, a resztę spędzę na kopaniu kanałów w Dartmoor. Przeklęty to był dzień, gdy oczy moje ujrzały po raz pierwszy Achmeta i usłyszałem o skarbie Agry, który zawsze przynosi nieszczęście posiadaczowi. Jemu przyniósł morderstwo, majorowi Sholto strach i występki, a mnie niewolę do końca życia.

W tej chwili w kabinie ukazała się szeroka twarz i barczysta postać Jonesa.

— Miła pogawędka — rzekł. — Panie Holmes, możemy sobie powinszować. Szkoda, że i tamtego nie schwytaliśmy żywcem, ale niepodobna było postąpić inaczej. Dokonał pan i tak rzeczy niemałej. Dogonić „Aurorę” to nie lada sztuka.

— Istotnie, nie przypuszczałem, że jest aż tak szybka — odparł Holmes.

— Smith utrzymuje, że to jedna z najszybszych łodzi motorowych na Tamizie i zapewnia, że gdyby był miał kogoś do pomocy przy maszynie, nie dogonilibyśmy ich nigdy. Zaklina się, że nic nie wiedział o sprawie w Norwood.

— A bo nie wiedział! — zawołał więzień. — Wybrałem jego łódź ze względu na jej szybkość. Nie powiedzieliśmy mu nic, zapłaciliśmy dobrze i byłby dostał jeszcze coś ładnego, gdybyśmy zdążyli do Gravesend na „Esmeraldę”, która odpływa do Brazylii.

— Skoro nie zrobił nic złego, postaramy się, aby i jemu nic się nie stało. Umieemy chwycić tych, których ścigamy, ale nie jesteśmy znów tacy pochopni w potępianiu ich.

Zabawny był pełen godności Jones, który zaczynał już mówić tak, jakby schwytanie Smalla było jego zasługą. Po uśmiechu, jaki przemknął się po twarzy Holmesa, poznałem, że i on to zauważył.

— Dopływamy do mostu Vauxhall — odezwał się znów Jones. — Doktorze Watson, pan tu wylądował ze szkatułką. Nie potrzebuję chyba dodawać, że zezwalając na to, biorę na siebie wielką odpowiedzialność. Sprzeciwia się to przepisom policyjnym, ale umowa pozostaje oczywiście umową. Obowiązek urzędowy nakazuje mi posłać z panem jednego z inspektorów. Pan z pewnością weźmie dorożkę?

— Tak, naturalnie.

— Szkoda, że nie ma klucza, moglibyśmy zrobić spis zawartości szkatułki. Trzeba będzie rozbić ją. Gdzie podzielaś klucz? — zwrócił się do Smalla.

— Na dnie — odparł Small sucho.

— Hm... Niepotrzebnie przysporzyłeś nam kłopotu. I tak mieliśmy dosyć roboty. Zbyteczne, doktorze, zalecać panu ostrożność. Niech pan przywiezie szkatułkę na Baker Street, gdzie zastanie nas pan przed wizytą w komisariacie.

Wysadzili mnie na ląd w Vauxhall z ciężką, żelazną szkatułką i uroczystym a uprzejmym inspektorem policji. W kwadrans później dorożka stanęła przed mieszkaniem pani Forrester. Służąca ze zdziwieniem wpuściła późnego gościa. Objąsniła, że pani Forrester wyszła i powróci pewnie bardzo późno, miss Morstan jest jednak w bawialni. Poszedłem tedy do bawialni, dźwigając szkatułkę, a uprzejmego inspektora zostawiłem w dorożce.

Miss Morstan siedziała przy otwartym oknie, ubrana w przejrzystą, białą suknię, z purpurowymi kokardami w talii i przy gorsie. Łagodne światło lampy osłoniętej abażurem kładło się na jej postać, na słodkie, poważne oblicze. Metaliczne błyski lśniły w obfitych zwojach jej włosów. Biała ręka, zwieszona niedbale przez poręcz fotela, i cała postawa wyrażały tęskny smutek. Na odgłos moich kroków zerwała się, rumieniec ubarwił jej lica, oczy zajaśniały wyrazem radosnego zdumienia.

— Słyszałam, jak zajechała dorożka — rzekła. — Myślałam, że to pani Forrester wraca tak wcześnie... Nie przeszło mi nawet przez głowę, że to pan. Co słyhać?

— Przynoszę pani więcej niż zwykle — rzekłem, stawiając szkatułkę na stole. Mówiłem tonem przesadnie wesołym, choć serce ciążyło mi jak ołów. — Przynoszę pani coś, co warte jest więcej niż wszelkie nowiny. Przynoszę pani majątek!

Spojrzała na żelazną szkatułkę.

— A więc to jest ten skarb? — spytała dość obojętnie.



— Tak, to wielki skarb Agry. Połowa należy do pani, połowa do Thaddeusa Sholto. Każde z was otrzyma po kilkaset tysięcy. Niech pani pomyśli! Dziesięć tysięcy funtów rocznej renty<sup>59</sup>. Niewiele jest w Anglii bogatszych młodych dam. Czy to nie wspaniałe?

Zdaje się, że musiałem trochę przesadzić w zachwycie i że wyczuła nieszczerzy ton moich słów, bo spojrzała zdumiona.

— Posiadanie tego skarbu zawdzięczam tylko panu — rzekła.

— Nie, nie — odparłem — nie mnie, lecz memu przyjacielowi Sherlockowi Holmesowi. Przy całym nakładzie dobrej woli nie byłbym w stanie śledzić wątku, który wystawił na próbę nawet genialne zdolności śledcze Holmesa. Mało brakowało, byśmy w ostatniej chwili zupełnie tego wątku nie utracili.

— Proszę, niech pan siada, panie doktorze, i opowie wszystko.

W krótkich słowach opowiedziałem jej, co zaszło od chwili, kiedy ją widziałem po raz ostatni. Nową metodę poszukiwań Holmesa, odnalezienie „Aurory”, pojawienie się Jonesa, wieczorną wyprawę i szaloną pogoń po Tamizie. Z rozchylonymi ustami i roziskrzonym wzrokiem słuchała naszych przygód. Gdy wspomniałem o zatrutej strzale, która nas ominęła, miss Morstan pobladała tak silnie, że obawiałem się, iż zemdleje.

— To nic — rzekła, gdy podałem jej śpiesznie szklankę wody. — Już przeszło. Przeraziłam się, słysząc, na jakie straszne niebezpieczeństwa naraziłam panów.

— Wszystko już minęło — odparłem. — Drobnostka! Nie będę opowiadał szczegółów. Pomówmy lepiej o czymś weselszym. Przecież tu jest skarb! Czy może być coś przyjemniejszego? Uzyskałem pozwolenie zabrania go ze sobą, myślałem, że pani będzie chciała obejrzeć te cuda pierwsza.

— Owszem, będę bardzo rada — odparła.

Głos jej pozbawiony był najłżejszego odcienia zapału lub choćby niecierpliwości. Zmiarkowała jednak, iż obojętność wobec skarbu zdobytego z takim trudem wydać się może niewdzięcznością, i dodała:

— Jaka ładna szkatułka! Czy to wyrób indyjski?

— Tak jest, z Benares.

— Ach, jaka ciężka! — zawołała, usiłując ją podnieść. — Sama musi mieć niemałą wartość. Gdzie klucz?

— Small rzucił klucz do Tamizy — odpowiedziałem. — Będę musiał pożyczyć pograbacza od pani Forrester.

Wiekno podtrzymał szeroki, gruby skobel z wizerunkiem siedzącego Buddy. Wsunąłem pod ten skobel koniec pograbacza, podważyłem, odskoczył z głośnym trzaskiem. Drżącymi palcami otworzyłem wieko. Osłupieliśmy... Szkatułka była pusta!

Nic dziwnego, że była ciężka. Ścianki miały dwie trzecie cala grubości. Robota była solidna. Szkatułka nie zawierała jednak ani szlachetnych kruszców, ani drogich kamieni. Była pusta.

— Skarb zginął! — rzekła miss Morstan spokojnie.

Gdy usłyszałem te słowa i zrozumiałem ich sens, zdawało mi się, że wielki cień pierzcha z mej duszy. Jakim ciężarem skarb Agry przytłaczał mi serce, przekonałem się dopiero teraz, kiedy się go pozbyłem. Było to uczucie samolubne i nieszlachetne, zgoda, ale w danej chwili obchodziło mnie tylko to, że dzieląca nas przeszkoda — znikła.

— Bogu dzięki! — westchnąłem z głębi serca.

Miss Morstan spojrzała pytającym wzrokiem z uśmiechem na ustach.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — spytała.

— Że teraz nic nas już nie dzieli — rzekłem, biorąc ją za rękę. — Dlatego, że kocham cię, Mary, dlatego, że ten skarb, te bogactwa zamykały mi usta. Teraz, gdy ich nie ma, mogę już wyznać ci swoje uczucie. Dlatego westchnąłem „Bogu dzięki”.

— Zgadzam się z tobą... „Bogu dzięki” — szepnęła w mych objęciach.

## XII. OSOBLIWE DZIEJE JONATHANA

Cierpliwość inspektora siedzącego w dorożce wystawiona została na próbę. Niemało upłynęło wody, zanim wróciłem. Na widok pustej szkatułki twarz jego zasepiła się.

<sup>59</sup>renta — tu: dochód z kapitału ulokowanego w banku, w obligacjach, na giełdzie itp.; por. *rentier*. [przypis edytorski]

— Diabli wzięli nagrodę! — rzekł ponuro. — Gdzie nie ma pieniędzy, nie ma i zapłaty. Spory grosz przyniosłaby dzisiejsza noc i Brownowi, i mnie, gdyby skarb się znalazł.

— Pan Sholto jest człowiekiem bogatym — rzekłem — wynagrodzi was z pewnością pomimo zniknięcia skarbu.

Inspektor potrząsnął głową z powątpiewaniem.

— Kiepska sprawa — rzekł — pan Jones będzie zły.

Jego przepowiednia się sprawdziła. Na widok pustej szkatułki Jones aż pobladł z gniewu. Przyjechali na chwilę przed nami: Holmes, więzień i on, bo po drodze namyślili się i zameldowali o wypadkach na jednym z pobliskich komisariatów. Mój współlokator ze zwykłą obojętnością rozparł się wygodnie w fotelu. Small siedział chmurny, milczący. Na widok pustej szkatułki przechylił się w tył i parsknął głośnie śmiechem.

— To twoja sprawka! — rzekł Jones ze złością.

— Tak, schowałem skarb w ten sposób, że nigdy go nie znajdziecie — rzekł. — Skarb należy do mnie, a skoro ja go nie mogę mieć, nikt go nie dostanie: postarałem się o to. Mówię, że nikt na świecie nie ma prawa do skarbu prócz trzech ludzi, siedzących w barakach dla skazańców na Andamanach, no... i mnie! Wiem, że ani ja, ani oni nie będziemy mogli z niego korzystać. Pracowałem zarówno dla nich, jak i dla siebie, zawsze w imieniu czterech. Jestem pewien, że oni uczyniliby to samo co ja i raczej wrzuciliby skarb do Tamizy, niż mieliby go oddać krewnym Sholta lub Morstana. Nie po to sprzątnęliśmy Achmeta, żeby ich wzbogacać. Znajdziecie, panowie, skarb tam, gdzie leży klucz i gdzie spoczywa mały Tonga. Gdy widziałem, że wasza łódź z pewnością nas doścignie, ukryłem zdobycz w bezpiecznym miejscu. Ta wycieczka nie przyniesie wam ani grosza.

— Kłamiesz — rzekł Jones surowo. — Gdybyś chciał wrzucić skarb do rzeki, łatwiej byłoby ci wrzucić go ze szkatułką.

— Tak, mnie byłoby łatwiej wrzucić, a wam znaleźć — odparł, zerkając na nas przebiegle z ukosa. — Kto był dość mądry, by mnie wytropić, miałby też dość sprytu, by wydobyć szkatułkę z dna rzeki. Teraz, kiedy klejnoty i pieniądze porozsiewałem na przestrzeni jakichś pięciu mil, sprawa będzie trudniejsza. A jednak serce mi się krajało, gdy to robił. Byłem na pół przytomny, widząc, że nie ma ratunku. No, ale co tu się martwić! Bywałem w życiu na wozie i pod wozem i nauczyłem się nie ronić łez nad stratą.

— Sprawa jest poważna — rzekł detektyw. — Gdybyś był pomógł sprawiedliwości, zamiast czynić jej na przekór, miałbyś lepsze widoki na uniewinnienie.

— Sprawiedliwość! — ryknął drwiąco więzień. — Ładna mi sprawiedliwość! Czyj to skarb, jeśli nie nasz? Gdzież jest sprawiedliwość, aby mój skarb oddać ludziom, którzy na niego nie zapracowali? Ja zapracowałem ciężko! Spędziłem dwadzieścia długich lat wśród bagnisk, źródła febry i gorączki, cały dzień przy robocie, noc całą skutą kajdanami w brudnym baraku skazańców, kąsany przez moskity, trzęsiony febrą, szturchany i okładany kułakami przeklętych czarnoskórych dozorców, pastwiących się z upodobaniem nad białymi... Tak to zdobywałem skarb Agry, a wy mi mówicie o sprawiedliwości! Nie mogę znieść myśli, że tak drogo go okupiłem, a ktoś inny miałby z niego korzystać! Wolałbym wisieć na szubienicy lub zginąć pod strzałami Tongi niż gnić w celi więziennej i dręczyć się myślą, że ktoś inny za moje pieniądze żyje wygodnie w pałacu.

Small zrzucił maskę stoicyzmu<sup>60</sup> i mówił bezładnie, z roziskrzonymi oczyma, wymachując rękoma, szcękając kajdanami. Obserwując wściekłość tego człowieka, zrozumiałem, że trwoga, jaka ogarnęła majora Sholta na wieść, iż pokrzywdzony więzień go ściga, nie była bezpodstawna ani urojona.

— Zapominacie, że my o tym nic nie wiemy — rzekł Holmes. — Nie znamy tej całej historii, nie możemy więc osądzić, w jakiej mierze sprawiedliwość była początkowo po waszej stronie.

— Prawda, proszę pana. Pan mówi ze mną przyzwoicie, choć panu wyłącznie zawdzięczam te kajdanki. Nie żywię jednak do pana żalu, ze swego punktu widzenia postąpił pan słusznie. Jeśli pan chce poznać moje dzieje, nie będę ich przed panem ukrywał. To, co powiem, jest świętą prawdą. Nie ma w tym ani jednego słowa kłamstwa. Dziękuję panu, niech pan każe podać mi wody, zwilżę usta.

<sup>60</sup>stoicyzm — staroż. kierunek filozoficzny zalecający sumiennosc w obowiazkach, zachowanie umiaru i spokoju wewnetrznego niezaleznie od okolicznosci zewnetrznych. [przypis edytorski]

Pochodzę z Worcestershire. Gdyby pan tam zajrzał, znalazłby pan mnóstwo Smalów. Często brała mnie chęć tam pojechać, ale nigdy nie cieszyłem się uznaniem rodziny i wątpię, czy krewni ucieszyliby się na mój widok. Wszyscy krewni to ludzie stateczni, bogobojni, drobni farmerzy, znani i szanowani w okolicy, ze mnie zaś był zawsze kawał włóczęgi. Mając lat osiemnaście, przestałem im robić zmartwienia: wpakowałem się w awanturę o dziewczynę i nie miałem innego wyjścia prócz wojska. Wstąpiłem tedy do pułku, który właśnie wyruszał do Indii.

Nie była mi jednak przeznaczona długa żołnierka. Nauczyłem się zaledwie maszerować i trzymać karabin, gdy zachciało mi się pewnego dnia popływać w Gangesie. Na szczęście wybrał się ze mną sierżant z mojej kompanii, John Holder, a pływał znakomicie. Zaledwie oddaliłem się od brzegu, krokodyl schwycił mnie za prawą nogę i odgryzł mi ją tuż nad kolanem, tak czysto i z taką dokładnością, że mógłby mu pozazdrościć chirurg. Z bólu i utraty krwi zemdląłem i utonąłbym niechybnie, gdyby Holder nie był w porę pochwycił mnie i zaniósł na brzeg. Pięć miesięcy leżałem w szpitalu, a gdy nareszcie wyszedłem z tą oto pałką, przymocowaną do mego kikuta, dowiedziałem się, że wypisano mnie z armii jako inwalidę.

Łatwo sobie wyobrazić, jaka czekała mnie przyszłość. Zostać bezużytecznym kaleką, nie mając lat dwudziestu! Niebawem jednak okazało się, że moje kalectwo było błogosławieństwem. Niejaki Abel White, właściciel plantacji indygo<sup>61</sup>, potrzebował właśnie dozorcę nad kulisami<sup>62</sup> przy robocie. Był dobrym znajomym naszego pułkownika, który interesował się mną od czasu wypadku z krokodylem. Krótko mówiąc, pułkownik polecił mnie na tę posadę. Związane z nią obowiązki wymagały całodziennego niemal przebywania na koniu, w czym kalectwo moje nie było przeszkodą. Kawalek nogi, jaki mi pozostał, wystarczał, aby utrzymać się na siodle. Moja praca polegała na objeżdżaniu plantacji, pilnowaniu robotników i strofowaniu próżniaków. Wynagrodzenie miałem dobre, mieszkanie wygodne. Jedynym moim życzeniem było spędzić resztę życia na plantacjach indygo. Pan Abel White był dla mnie bardzo dobry. Często zaglądał do mojej skromnej siedziby i wypalał ze mną fajkę, bo ludzie biali na obczyźnie lgną do siebie tak, jak nigdy w kraju.

Szczęście jednak nie sprzyjało mi długo. Nagle, bez żadnego uprzedzenia, wybuchło powstanie. Jednego miesiąca w Indiach panował pozornie taki spokój jak w Surrey lub Kent, naraz zbuntowało się dwieście tysięcy czarnych diabłów<sup>63</sup> i cały kraj zmienił się w istne piekło. Panowie wiedzą prawdopodobnie lepiej ode mnie, co się tam wtedy działo. Ja gazet nie czytuję i wiem to tylko, co widziałem na własne oczy. Nasza plantacja położona była w miejscowości zwanej Muttra, na kresach prowincji północno-zachodnich. Noc w noc cały widnokrąg oświetlała luna pożaru płonących osad i wiosek, a dzień w dzień przez naszą posiadłość ciągnęli Europejczycy z żonami i dziećmi, dążąc do Agry, miejsca pobytu najbliższej załogi wojskowej.

Abel White był człowiekiem upartym. Wbił sobie do głowy, że całe powstanie zgaśnie równie nagle, jak powstało. Siedział więc spokojnie na werandzie, popijając whisky i paląc fajkę, gdy kraj cały był w ogniu. Oczywiście nie opuściliśmy go, ani ja, ani Dawson, który wraz z żoną zajmował się buchalterią i gospodarstwem. Ale wreszcie przyszła katastrofa. Tego dnia byłem na odległej plantacji. Wieczorem wracałem do domu. Nagle wzrok mój padł na jakiś ciemny kłęb leżący na dnie urwiska przy drodze. Podjechałem bliżej, żeby zobaczyć, co to takiego, i omal nie spadłem z konia... Była to żona Dawsona, poćwiartowana na kawałki, na pół pożarta przez szakale i psy. Nieco dalej leżał twarzą do

Powstanie

Powstanie

<sup>61</sup>indygo — cenny niebieski barwnik wyrabiany z indygowców, krzewów rosnących na Półwyspie Indyjskim. [przypis edytorski]

<sup>62</sup>kulis — w południowo-wschodniej Azji: robotnik wykonujący najgorzej płatne prace, zwykle tragarz. [przypis edytorski]

<sup>63</sup>czarnych diabłów — tu: pejoratywne określenie mieszkańców Indii; w rzeczywistości ludność północnych Indii, gdzie wybuchło powstanie, jest indoeuropejska, ma karnację od śniadej (na zachodzie) po ciemnobrązową (na wschodzie) i w najprostszej klasyfikacji należy do odmiany białej człowieka; tylko ciemnoskórą rdzenną ludność południa subkontynentu indyjskiego, o odmiennych rysach twarzy i budowie czaszki, zaliczano w niektórych klasyfikacjach do odrębnego typu australoidalnego, należącego do odmiany czarnej. [przypis edytorski]

ziemi trup Dawsona z rewolwerem w ręku, a przed nim cztery trupy sipajów<sup>64</sup>, jeden na drugim.

Zatrzymałem konia, chcąc zebrać myśli i zastanowić się, co począć, lecz w tejże chwili spostrzegłem słup dymu unoszący się nad domem White'a i płomień dobywający się przez dach. Pojąłem, że wobec tego nie mogę nic pomóc i że postradałbym życie, gdybym się w to wmieszał. Z miejsca tragicznego postoju mogłem obserwować tłum czarnych diabłów jeszcze w czerwonych kurtkach<sup>65</sup>. Tańczyli, wyjąc, dokoła płonącego domu. Niektórzy zaczęli wskazywać na mnie i niebawem kilka kul świsnęło mi koło uszu. Ruszyłem więc z kopyta i późną nocą stanąłem szczęśliwie w murach Agry.

Okazało się jednak, że i tu pobyt nie był zupełnie bezpieczny. W całej okolicy wrzało jak w ulu. Gdzie tylko Anglicy zdołali zebrać się w gromadkę, bronili się zaciekle. Gdzie indziej padali bezbronni ofiarą zemsty dzikich. Była to nierówna walka z tymi, którzy stanowili dotąd część naszego własnego wojska, których uczyliśmy musztry, a którzy zabijali nas teraz naszą własną bronią, strzelali naszymi własnymi nabojami. W Agrze stała trzecia kompania fizylierów bengalskich, mały oddział Sikhów<sup>66</sup>, dwa oddziały konnicy i bateria artylerii. Sformowano też oddział ochotniczy z pracowników handlowych i kupców. Przyłączyłem się do tego oddziału, mimo drewnianej nogi. W pierwszych dniach lipca wyruszyliśmy pod Shahgunge<sup>67</sup> i tu zwyciężyliśmy powstańców, ale wkrótce zabrakło nam prochu i musieliśmy wrócić do miasta.

Ze wszystkich stron dochodziły nas najgorsze wieści. Trudno się temu dziwić: byliśmy w samym ognisku buntu. Dokoła szerzyła się pożoga i okrucieństwo.

Agra jest dużym miastem, pełnym fanatyków i wszelkiego rodzaju zacieklej czcicieli diabła. Nasza garstka zginęłaby wśród wąskich, krętych uliczek. Nasz przywódca przeprowadził nas tedy przez rzekę i zajął stanowisko w starym forcie Agry<sup>68</sup>. Nie wiem, czy panowie słyszeli albo czytali o tym starym forcie. To ponure, dziwaczne miejsce, osobliwsze nie widziałem, choć byłem w niejednym zapadłym kącie. Fort jest olbrzymich rozmiarów. Wały zajmują dziesiątki akrów. Są tam nowe zabudowania, gdzie mieściła się nasza załoga, kobiety, dzieci, zapasy, słowem wszystko, poza tym pozostało jeszcze mnóstwo wolnego miejsca. Ta zamieszкана część fortu nie może pod względem rozmiarów równać się ze starą częścią, stojącą pustką, nawiedzaną tylko przez skorpiony i stonogi. Pełno tam wielkich, opuszczonych izb, krętych przejść, długich korytarzy wijących się tak, że łatwo człowiekowi zablądzić. Z tego powodu rzadko kiedy tam ktoś chodził, tylko od czasu do czasu zbierała się grupka ciekawskich z pochodniami i szła zwiedzić zakamarki.

Wzdłuż frontowej ściany starego fortu płynie rzeka, stanowi więc jego naturalną obronę, ale z boków i od tyłu są liczne wejścia, których trzeba było strzec. Ludzi mieliśmy niewiele. Wystarczało zaledwie na wystawienie straży na rogach budynku i na obsługę armat. O silnych posterunkach przy każdym z niezliczonych wejść mowy być nie mogło. Zorganizowaliśmy zatem w środku fortu wartownię, a każde wejście powierzyliśmy

Kolonializm

<sup>64</sup>sipaj (hist. wojsk.) — żołnierz indyjski w armii brytyjskiej w Indiach; w 1857 nierespektowanie przez Brytyjczyków kultury i religii miejscowych żołnierzy doprowadziło do buntu dwóch pułków sipajów, który przeistoczył się w wielkie powstanie na północy Indii (zwane powstaniem sipajów, gdyż wzięło w nim udział ok. 70 tysięcy żołnierzy hinduskich). Jednym ze skutków powstania sipajów było przejście przez rząd brytyjski bezpośredniej władzy kolonialnej nad Indiami, sprawowanej uprzednio w imieniu Korony, ale niezależnie od rządu przez Brytyjską Kompanię Wschodnioindyjską, korporację zrzeszającą angielskich inwestorów. [przypis edytorski]

<sup>65</sup>w czerwonych kurtkach — czyli w brytyjskich mundurach; do początków XX w. żołnierze większości brytyjskich formacji wojskowych nosili czerwone kurtki mundurowe, w szczególności takie same nosili sipajowie, żołnierze indyjscy służący w armii brytyjskiej. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>sikhowie — wyznawcy sikhizmu, religii indyjskiej łączącej elementy islamu i hinduizmu; w XIX w. stworzyli imperium w płn.-zach. Indiach (stąd dawniejsze traktowanie ich jako odrębnego ludu), które zostało pokonane i podbite w 1849 w drugiej wojnie brytyjsko-sikhijskiej. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>bitwa pod Shahgunge (5 lipca 1857) — stoczona w pobliżu Shahgunge niedaleko Agry pomiędzy powstańcami-sipajami a wojskami Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, zakończona wycofaniem się Brytyjczyków. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>Czerwony Fort w Agrze — wielki zespół budowli fortecznych i pałacowych w Agrze w Indiach, wzniesiony z inicjatywy cesarza Akbara (1556–1605) z dynastii Wielkich Mogołów, w 1983 wpisany na Listę Światowego Dziedzictwa UNESCO; w 1857 był miejscem bitwy podczas powstania sipajów, które spowodowało koniec rządów Brytyjskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej w Indiach i objęcie bezpośrednich rządów w tym kraju przez rząd Wielkiej Brytanii. [przypis edytorski]

pieczy jednego białego i dwóch albo trzech krajowców. Mnie powierzono straż nocną przy małych odosobnionych wrotach w południowo-zachodniej stronie fortu. Dodano mi dwóch żołnierzy Sikhów i zalecono, abym w razie niebezpieczeństwa wystrzelił na alarm, gdyż mogę być pewny, że z wartowni niezwłocznie nadejdzie pomoc. Ponieważ jednak wartownia była o dobre dwieście kroków, a przestrzeń, dzieląca mnie od niej, przecięta labiryntem przejść i korytarzy, miałem więc obawy, czy zdążąliby przyjść na czas w razie faktycznej napaści.

Dowództwo nad dwoma żołnierzami przejmowało mnie niemałą dumą. Byłem przecież zwykłym rekrutem, i to o jednej nodze. W ciągu dwu nocy sprawowałem wartę z Sikhami. Były to silne, wysokie chłopcy o ponurych twarzach. Nazywali się Mahomet Singh i Abdullah Khan, obaj starzy wojownicy, którzy niegdyś walczyli przeciw nam pod Chilianwallą<sup>69</sup>. Dość dobrze mówili po angielsku, ale trudno mi było wciągnąć ich do rozmowy. Woleli trzymać się razem i bełkotać całą noc w swym niezrozumiałym języku. Ja zaś stałem zazwyczaj za bramą i patrzyłem na szeroką, wijącą się rzekę i na migocące światła wielkiego miasta. Bicie w bębny, szczęki broni, wycie i wrzaski powstańców, upojonych opium, nie pozwalały mi przez całą noc zapomnieć o niebezpiecznych sąsiadach zza rzeki. Co dwie godziny oficer z patrolem obchodził wszystkie stráže, aby sprawdzić, czy są na swych miejscach.

Trzecia z rzędu noc mojej służby była pochmurna. Drobną deszcz mżył nieustannie. Niewesoło jest stać na straży w taką pogodę. Próbowałem kilkakrotnie wciągnąć moich Sikhów do rozmowy, ale bez powodzenia. O drugiej nad ranem przybył oficer na przegląd i zakłócił na chwilę monotonię nocy. Widząc, że z towarzyszy nie wydobędę ani słowa, wyjąłem fajkę i oparłem karabin o mur. W jednej chwili obaj Sikhowie rzucili się na mnie. Jeden chwycił mój karabin i wymierzył mi prosto w głowę, drugi dobył nóż, przyłożył mi go do gardła i przysięgał przez zaciśnięte zęby, że mnie zarżnie, jeżeli spróbuję ruszyć się z miejsca.

Pojąłem, że lotry są w zмовie z powstańcami i że ich napaść jest początkiem ogólnego ataku. Jeśli nasza brama przejdzie w ręce powstańców, fort się nie utrzyma, a kobiety i dzieci spotka los, jaki spotkał ludność w Cawnpore<sup>70</sup>. Może panowie pomyślą, że to czcze przechwałki, ale daję słowo, iż na myśl o tym, mając ostrze noża na gardle, już otwierałem usta, żeby krzyknąć na alarm, choćby to miał być mój ostatni krzyk. Trzymający mnie odgadł widać moje myśli, bo szepnął: „Nie rób hałasu, *sabibie*. Fort jest bezpieczny. Z tej strony rzeki nie ma zbuntowanych psów”. W tonie jego głosu było coś z prawdy. Nie wątpiłem, że jeśli podniosę głos, padnę trupem. Wyczytałem to w oczach mówiącego. Czekałem więc w milczeniu na wyjaśnienie, czego ode mnie chcą.

„Posłuchaj mnie, *sabibie* — rzekł wyższy z nich i bardziej ponury, zwany Abdullahem Khanem. — Albo przyłączysz się do nas, albo zaniemówisz na zawsze. To dla nas zbyt ważna sprawa, żebyśmy mogli się wahać. Zaprzędasz się nam ciałem i duszą i przysięgniesz na krzyż chrześcijan, albo twoje ciało legnie w rowie, my zaś przejdziemy na stronę powstańców. Nie ma drogi pośredniej! Wybieraj: śmierć czy życie? Masz trzy minuty do namysłu, a wszystko musi być załatwione, zanim patrol powróci”.

„Jakże mogę się zdecydować — rzekłem — skoro nie powiedzieliście mi, o co wam chodzi? Ale zapowiadam, że jeśli to zamach na bezpieczeństwo fortu, nie wejdę w żadne konszachty, możecie lepiej od razu pchnąć mnie po prostu nożem w gardło”.

„Nie, to nie żaden zamach na fort — odrzekł. — Żądamy od ciebie tylko tego, po co przybywają tu twoi rodacy. Chcemy, żebyś się wzbogacił. Jeśli pomożesz nam dzisiaj, przysięgamy na ten nóż potrójną przysięgą, której żaden Sikh jeszcze nie złamał, że otrzymasz należną część łupu. Czwarta część skarbu będzie twoja”.

<sup>69</sup>*bitwa pod Chilianwallą* (13 stycznia 1849) — stoczona w okolicach miasteczka Chilianwalla (w ob. w prowincji Pendżab w Pakistanie) podczas drugiej wojny brytyjsko-sikhijskiej między Imperium Sikhów a Kompanią Wschodnioindyjską; obie armie utrzymały swoje pozycje do końca bitwy i obie strony ogłosiły zwycięstwo; była to jedna z najkrwawszych bitew stoczonych przez Brytyjską Kompanię Wschodnioindyjską. [przypis edytorski]

<sup>70</sup>*oblężenie Cawnpore* (5–25 czerwca 1857) — oblężenie Cawnpore (ob. Kanpur), ważnego miasta garnizonowego wojsk Kompanii Wschodnioindyjskiej, przez indyjskich powstańców podczas powstania sipajów; zakończone poddaniem się oblężonych w zamian za bezpieczne przejście do Allahabadu; ewakuacja z Cawnpore zamieniła się w masakrę, w której zginęła większość Brytyjczyków, w tym 120 kobiet i dzieci, schwytych i zabitych przez sipajów. [przypis edytorski]

„Gdzież ten skarb? — spytałem. — Nie mam nic przeciwko szybkiemu zdobyciu bogactwa, wskażcie mi po prostu drogę”.

„Przysięgnij zatem — rzekł — na prochy ojca, honor matki, na krzyż swojej wiary, że nie podniesiesz ręki przeciw nam ani teraz, ani nigdy!”

„Przysięgam — rzekłem — byle tylko fort nie był zagrożony”.

„W takim razie towarzysz mój i ja przysięgamy, że otrzymasz czwartą część skarbu”.

„Ależ nas jest tylko trzech” — zauważyłem.

„Nie. Czwartym jest Dost Akbar. Musi także dostać swoją część. Opowiem pokrótce, o co chodzi. Ty, Mahomecie, pilnuj drogi i daj znak, gdy będą nadchodzili. Powiem ci wszystko, *sahibie*, bo wiem, że biały przysięgi nie łamie i że można ci ufać. Gdybyś był Hindusem, to choćbyś przysięgał na wszystkie świętości, krew twoja polałaby się, a ciało twoje poszłoby do wody. Ale Sikh zna Anglika, a Anglik zna Sikha. Słuchaj zatem, co powiem:

Jest w prowincjach północnych pewien radża, który ma wielkie bogactwa, chociaż ziemi niewiele. Dostało mu się sporo po ojcu, więcej jeszcze zbierał sam, bo ma chciwą naturę i woli złoto gromadzić niż rozdawać. Gdy wybuchły rozruchy, chciał żyć w przyjaźni z lwem i z tygrysem, z Sikhami i z wojskiem królowej. Ale wkrótce wydało mu się, że panowanie białych bliskie jest końca, bo w całym kraju słyhać było o ich porażkach. Ponieważ zaś radża jest człowiekiem ostrożnym, postanowił urządzać się tak, żeby mu pozostała chociaż połowa skarbu. Złoto i srebro schował w podziemiach swego pałacu, a najcenniejsze kamienie i najdroższe perły włożył do żelaznej skrzynki i powierzył ją zaufanemu słudze z poleceniem, aby zaniósł ją do fortu Aгры, gdzie ma pozostać, póki w kraju nie zapanuje spokój. W ten sposób, jeśli zwyciężą powstańcy, radża będzie miał pieniądze, a jeśli zwycięzcami okażą się wojska angielskie, ocali klejnoty. Podzieliwszy w ten sposób swoje skarby, radża przyłączył się do sipajów, ponieważ zwyciężali na pograniczu jego państwa. Tym sposobem, zauważ, *sahibie*, jego własność stała się należna tym, którzy pozostali wierni władzy.

Sługa radży, podróżujący w przebraniu kupca jako Achmet, jest już w Agrze i pragnie dostać się do fortu. Ma za towarzysza podróży mego mlecznego brata, Dosta Akbara, który zna tajemnicę żelaznej szkatułki. Dost Akbar przyrzekł mu, że dziś w nocy zaprowadzi go do bocznego wejścia fortu — i wybrał wejście, które jest właśnie pod twoją strażą. Nadejdą niebawem. Pusto tu wszędzie i nikt nie będzie o niczym wiedział. Świat nie usłyszy już o Achmecie, a wielki skarb radży podzielimy między siebie. Co ty na to, *sahibie*?”

W Worcestershire życie człowieka wydaje się rzeczą wielką i świętą, ale tam, gdzie naokół krew i pożoga, na każdym kroku przyzwyczajamy się do widoku śmierci. Tam to co innego. Czy Achmet będzie żył czy umrze — było mi najzupełniej obojętne, ale na wieść o skarbie serce zabiło mi gwałtownie. Wyobraziłem sobie, co zrobiłbym z nim w kraju i jak wszyscy osłupieliby, widząc, że ja, taki nicpoń, wracam z kieszeniami pełnymi złota. Zdecydowałem się od razu. Ale Abdullah Khan, sądząc, że się waham, nalegał coraz bardziej.

„Pomyśl, *sahibie* — mówił. — Jeśli komendant schwyci tego człowieka, każe go powiesić albo rozstrzelać, a klejnoty zabierze rząd i nikt nie skorzysta na tym ani jednej rupii<sup>71</sup>. Dlaczego więc nie mielibyśmy postąpić tak samo? Klejnoty będą czuły się równie dobrze u ciebie, jak w szkatule rządowej, a jest ich tyle, że z każdego z nas uczynią bogacza i wielkiego wodza. Nikt nie będzie o niczym wiedział, bo jesteśmy odcięci od wszystkich. Czy może się nadarzyć lepsza sposobność? Powiedz więc, czy trzymasz z nami, czy mamy cię uważać za wroga?”

„Trzymam z wami” — rzekłem po krótkiej chwili.

„Dobrze — powiedział Abdullah, zwracając mi karabin. — Ufamy ci, gdyż twoje słowo, jak nasze, nie może być złamane. Teraz będziemy czekali na brata i owego kupca”.

„Czy twój brat jest wtajemniczony w twoje plany?” — spytałem.

„Tak. On wszystko obmyślił. Ja i Singh staniemy u wejścia i będziemy czujnie pilnować drogi”.

<sup>71</sup>*rupia* — waluta używana w Indiach i innych krajach azjatyckich. [przypis edytorski]

Nadal padało, ponieważ pora deszczowa już się zaczęła. Brunatne, ciemne chmury ciągnęły ociężałe po niebie i trudno było rozróżnić kształty przedmiotów z odległości kilkunastu kroków. Przed wejściem ciągnęła się głęboka fosa, woda jednak w niektórych miejscach prawie wyschła, tak że można było ją z łatwością przekroczyć. Dziwnie było mi stać w ten sposób z dzikimi Sikhami i czekać na człowieka, który miał przyjść na śmierć.

Nagle dostrzegłem blask przyćmionej latarni po drugiej stronie fosy. Znikła między szanćcami, następnie ukazała się znów, zbliżając się powoli w naszym kierunku.

„Idą!” — szepnąłem.

„Zapytaj go o hasło, jak zwykle — szepnął do mnie Abdullah. — Nie dawaj mu powodu do obaw i podejrzeń. Poślij nas z nim do środka, zrobimy tam, co do nas należy, a ty zostań na straży. Przygotuj latarnię, żeby ją można od razu odsłonić, bo musimy się upewnić, że to rzeczywiście on”.

Migocące światło wciąż się zbliżało, wreszcie zdołałem rozpoznać dwie ciemne sylwetki. Pozwoliłem im ześliznąć się po stoku do fosy i i wspiąć się do połowy drogi pod górę.

„Kto idzie?...” — spytałem wówczas stłumionym głosem.

„Przyjaciele” — brzmiała odpowiedź.

Odsłoniłem latarnię, rzucając na nich snop światła. Pierwszy był to olbrzymi Sikh z czarną brodą, sięgającą poniżej pasa. Nie widziałem jeszcze takiego olbrzyma, chyba w jakiejś budzie cyrkowej. Drugi, mały, otyły, okrągły człowieczek, miał na głowie wielki żółty turban i niósł tłumok owinięty w szal. Drżał ze strachu, ręce dygotały mu jak w febrze, głowę obracał nieustannie w prawo i w lewo, strzelając niespokojnie małymi, błyszczącymi oczyma, jak mysz szykująca się do wyjścia z nory. Dreszcz wstrząsnął mną na myśl, że trzeba go zabić, przypomniałem sobie jednak skarb i serce zastygło we mnie i skamieniało. Nieborak tymczasem, ujrawszy moją twarz Europejczyka, wydał stłumiony okrzyk radości i podbiegł skwapliwie.

„Opieki — wyjął zdyszany — opieki dla biednego kupca Achmeta. Przejechałem przez całą Radżputanę<sup>72</sup>, żeby się schronić w forcie Agry. Zostałem okradziony, obity, sponiewierany dlatego tylko, że jestem wiernym sprzymierzeńcem Anglików. Błogosławiona niech będzie ta noc, kiedy wreszcie zdobywam bezpieczne schronienie... wraz ze swym skromnym mieniem”.

„Co to za pakunek?” — zapytałem.

„Żelazne pudełko z dokumentami i pamiątkami rodzinnymi. Nie mają właściwie żadnej wartości, ale dla mnie są ważne. Nie jestem żebrakiem, wynagrodzę was i waszego dowódcę, jeśli mi dacie schronienie, o które proszę”.

Nie mogłem mówić z nim dłużej. Im bardziej wpatrywałem się w jego tłustą, wylęklą twarz, tym trudniej było mi pogodzić się z myślą o morderstwie. Trzeba było jednak szybko kończyć.

„Zaprowadźcie go do dowódcy” — rzuciłem rozkaz.

Dwaj Sikhowie wzięli go między siebie, olbrzym szedł z tyłu, i tak weszli w ciemną czeluść bramy, ja zaś zostałem z latarnią na swoim miejscu.

Słyszałem wyraźnie odgłos ich miarowych kroków. Nagle wszystko ucichło. Usłyszałem głosy, potem dźwięki tarmoszenia i uderzeń. W chwilę później, ku mojemu przerażeniu, rozległ się tupot zmierzających w moją stronę kroków i głośny oddech biegnącego człowieka. Skierowałem na niego światło i ujrzałem małego, otyłego kupca z pokrzwioną twarzą, a tuż za nim olbrzymiego czarnobrodego Sikha. W dłoni Sikha złowrogo połyskiwał nóż.

Nie widziałem nigdy człowieka biegnącego takim tempem jak ten kupiec. Wyprzedził Sikha i było jasne, że minawszy mnie, wydostanie się za bramę i ujdzie pościgu. Na jego widok w moim sercu obudziła się litość, ale na myśl o skarbie skamieniało ponownie. Rzuciłem uciekającemu karabin pod nogi, nieborak upadł, potoczył się jak postrzelony królik, a zanim zdołał się podźwignąć, Sikh dopadł go i dwukrotnie zatopił mu nóż w pierśiach. Kupiec nawet nie zipnął, nie drgnął, leżał, gdzie upadł. Przypuszczam wprost, że

<sup>72</sup>Radżputana — region hist. w płn.-zach. Indiach, w dużej mierze pokrywający się z terytorium obecnym stanem Radżastan. [przypis edytorski]

padając, skrzył kark. Jak panowie widzicie, dotrzymuję słowa. Opowiadam wszystko, aż do najdrobniejszych szczegółów, bez względu na to, jakie skutki dla mnie stąd wynikną.

Umilkł i wyciągnął dłoń po wodę z whisky, którą mu Holmes przygotował. Wyznał, że człowiek ten przejmował mnie teraz najwyższą odrazą. Brr... ta zimna krew, z jaką brał udział w zabójstwie, i obojętny, lekceważący sposób, w jaki opowiadał o samym mordercy! Bez względu na karę, jaka go czekała, nie mógł spodziewać się ode mnie litości.

Holmes i Jones, oparłszy łokcie na kolanach, słuchali z zaciekawieniem, ale na ich twarzach malowało się również uczucie wstrętu. Small zauważył to, gdyż w głosie jego zadźwięczało po chwili zuchwały ton.

— Wszystko to jest karygodne, to prawda. Jednak ciekaw jestem, ilu ludzi odmówiłoby na moim miejscu przyjęcia udziału w takiej zdobyczy, wiedząc, że w razie oporu Sikhowie poderzną im gardło. Zresztą, gdyby kupiec wydostał się z fortu, cała sprawa wyszłaby na jaw, poszedłbym pod sąd polowy i zostałbym rozstrzelany, ludzie bowiem nie są zbyt łagodni w podobnych czasach.

— Opowiadacie dalej — przerwał Holmes oschle.

— Dobrze. Abdullah, Akbar i ja wnieśliśmy zabitego do fortu. Ciężki był strasznie, choć taki niski. Mahomet Singh został na straży przy bramie. Zanieśliśmy zwłoki na miejsce przygotowane przez Sikhów w wielkiej, pustej hali, gdzie ściany kruszyły się i rysowały. Podłoga zapadła się tam w jednym kącie, tworząc naturalny grób. Złożyliśmy w nim ciało Achmeta, zasypaliśmy cegłami i zajęliśmy się skarbem.

Leżał tam, gdzie go Achmet porzucił w chwili napaści. W tej oto szkatułce, która stoi na stole. Klucz na jedwabnym sznurku wisiał u tej rzeźbionej rączki na wieku. Otworzyliśmy szkatułkę i w świetle latarni ukazała się nam kolekcja klejnotów, o jakich czytałem w bajkach i marzyłem jako mały chłopiec. Ich blask oślepił. Gdy nasyciliśmy nimi oczy, wydobyliśmy i spisaliśmy wszystko. Były tam czterdzieści trzy brylanty pierwszej wody, wśród nich, zdaje mi się, słynny Wielki Mogoł<sup>73</sup>, uważany za drugi na świecie pod względem wielkości. Dalej dziewięćdziesiąt siedem pięknych szmaragdów, sto siedemdziesiąt rubinów, niektóre bardzo małe; ponadto czterdzieści karbunkulów<sup>74</sup>, dwieście dziesięć szafirów, sześćdziesiąt jeden agatów oraz beryle, onyksy, kocie oczka, turkusy i inne, których nazw wówczas nawet nie znałem. Prócz tego było trzysta pięknych pereł, z nich dwanaście oprawnych. Te ostatnie zostały później wyjęte ze szkatułki, nie znalazłem ich już bowiem, gdy odzyskałem skarb.

Obliczywszy to wszystko, włożyliśmy zawartość na powrót do szkatułki i zanieśliśmy pokazać Singhowi. Po czym ponowiliśmy uroczystą przysięgę, że zostaniemy sobie wzajemnie wierni i dochowamy tajemnicy. Zdobycz postanowiliśmy ukryć w bezpiecznym miejscu do czasu ogólnego uspokojenia kraju, a następnie podzielić ją na równe części. Na razie nie mogło być o tym mowy, bo w wypadku znalezienia u nas klejnotów takiej wartości powstałyby podejrzenia, wewnątrz zaś fortu nie było skrytki, gdzieby można było skarb przechować.

Zanieśliśmy więc szkatułkę do grobu Achmeta. Z najlepiej zachowanego muru dobyliśmy kilka cegieł i złożony skarb w tym otworze, wsadziliśmy cegły na nowo. Zapamiętaliśmy dobrze to miejsce, a nazajutrz narysowałem cztery plany, po jednym dla każdego z nas, i na dole postawiłem „Znak Czterech”, przysięgliśmy bowiem, że jeden będzie zawsze działał w imieniu wszystkich, tak żeby nikt nie był pokrzywdzony. Z ręką na sercu mogę zapewnić, że przysięgi tej nie złamałem.

Nie ma co opowiadać o przebiegu powstania indyjskiego. Gdy Wilson<sup>75</sup> wziął Delhi, a sir Colin<sup>76</sup> odbił Lucknow, bunt był prawie złamany. Nadciągnęły posiłki i Nana Sa-

<sup>73</sup>*Wielki Mogoł* — tu: wielki diament o burzliwej historii, wazący 280 karatów, odkryty ok. 1650 roku w regionie Golconda w płd. Indiach; był własnością dynastii Wielkich Mogołów (stąd nazwa), później stał się łupem wojennym, następnie zaginął. [przypis edytorski]

<sup>74</sup>*karbunkul* — dawne określenie ciemnoczerwonego kamienia szlachetnego, np. rubinu, a. półszlachetnego granatu. [przypis edytorski]

<sup>75</sup>*Wilson, Archdale* (1803–1874) — brytyjski oficer, uczestnik drugiej wojny brytyjsko-sikhijskiej, za udział w tłumieniu powstania sipajów m.in. w zdobyciu Delhi (14–21 września 1857) i uwolnieniu Lucknow od oblężenia (27 listopada 1857) otrzymał tytuł szlachecki. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>*Campbell, Colin* (1792–1863) — brytyjski oficer, uczestnik wielu wojen; podczas powstania sipajów głównodowodzący armii brytyjskiej w Indiach, uwolnił od oblężenia, a następnie ewakuował Lucknow, a po zwycięstwie w drugiej bitwie pod Cawnpore ponownie zdobył Lucknow (1–21 marca 1858). [przypis edytorski]



hib<sup>77</sup> zabrał się do odwrotu. Lotna kolumna pod dowództwem pułkownika Greatheda<sup>78</sup> przybyła do Agry i uwolniła miasto od powstańców. Zdawało się, że w kraju zapanował spokój, a my czterej mniemaliśmy, że nadszedł czas, kiedy będziemy mogli wreszcie przystąpić do podziału skarbu. Nagle jednak rozwiły się nadzieje: zostaliśmy aresztowani jako mordercy Achmeta.

A doszło do tego w następujący sposób. Radża złożył klejnoty w ręce Achmeta, gdyż wiedział, że Achmet jest człowiekiem godnym zaufania. Ludzie Wschodu są jednak podejrzliwi. Radża posyła tedy za Achmetem drugiego, jeszcze bardziej zaufanego sługę, i daje mu polecenie, aby nie spuszczał z oka Achmeta. Drugi sługa szedł więc za pierwszym i widział, jak ten wchodził do fortu. Oczywiście myślał, że Achmet schronił się tam, i nazajutrz przyszedł, ale Achmeta nie znalazł.

Wydało mu się to tak dziwne, że powiedział o tym sierżantowi straży, który złożył raport komendantowi. Niezwłocznie zarządzono śledztwo i wykryto zwłoki. Tak więc w chwili, kiedy myśleliśmy właśnie, że jesteśmy bezpieczni, zostaliśmy wszyscy czterej uwięzieni i postawieni pod sąd pod zarzutem morderstwa; my trzej dlatego, że sprawowaliśmy owej nocy wartę, a czwarty, ponieważ dowiedziano się, że towarzyszył zamordowanemu. Podczas procesu o klejnotach nie wspomniano ani słowa, gdyż radża został pozbawiony władzy i wypędzony z Indii, nikt zatem nie interesował się jego majątkiem. Udowodniono nam jednak współudział w dokonanym morderstwie. Sikhów skazano na dożywotnie ciężkie roboty, a mnie na śmierć, lecz potem zamieniono mi karę także na dożywocie.

Znaleźliśmy się tedy w położeniu nie do pozazdroszczenia, wszyscy czterej w kajdanach, z małą nadzieją na odzyskanie wolności, podczas gdy każdy z nas był w posiadaniu tajemnicy skarbu, który mógł zapewnić życie w przepychu. Można się było wściec, znosząc szturchańce pierwszego lepszego dozorczy, jedząc ryż i popijając wodę, z myślą o majątku, który czekał w ukryciu. Zdawało mi się chwilami, że oszaleję. Ale nie poddawałem się zmartwieniu, nie wątpiąc, że przyjdzie jeszcze czas wzięcia skarbu w posiadanie.

W samej rzeczy nareszcie marzenia moje zaczęły się urzeczywistniać. Przeniesiono mnie z Agry do Madrasu<sup>79</sup>, a stamtąd na Andamany, na wyspę Blair<sup>80</sup>. Ponieważ w tej osadzie bywa mało białych więźniów, więc sprawując się dobrze, stałem się wkrótce istotą uprzywilejowaną. Dano mi chatę w Hope Town, małej miejscowości na stokach Mount Harriet<sup>81</sup> i nie pilnowano mnie prawie wcale. Miejscowość była pępna, panowała tam ustawicznie febra i gorączka, a dokoła roiło się od ludożerców, gotowych przy pierwszej lepszej sposobności do poczęstowania człowieka zatrutą strzałą. Musieliśmy kopać rowy, osuszać bagna, sadzić drzewa i wykonywać wiele innych czynności. Pracowaliśmy dzień cały. Wieczorami mieliśmy nieco wolnego czasu. Dzięki temu nauczyłem się przyrządzać lekarstwa dla naszego doktora i zdobyłem trochę ogólnych wiadomości z medycyny. Ciągle jednak czyhałem na okazję do ucieczki, ale wysepka Blair położona jest o setki mil od lądu, a wiatrów morskich nie ma tam prawie wcale, więc wydostać się niepostrzeżenie jest rzeczą niesłychanie trudną.

Lekarz, doktor Somerton, młody, silny, uprawiał z zapalem sporty, a wieczorami oficerowie schodzili się u niego na karty. Pokój, gdzie przyrządzałem lekarstwa, przylegał do jego bawialni. Często, czując się osamotniony, gasiłem lampę i stojąc w ciemnościach, słuchałem ich rozmów, obserwując grę przez szparę w ścianie. Sam lubię bardzo karty, a przyglądać się grze innych to jakby grać samemu. Byli tam prócz chirurga: major Sholto,

<sup>77</sup>*Nana Sabib*, właśc. *Dundbu Panth* (1824–1859) — indyjski arystokrata, jeden z przywódców ogólnindyjskiego powstania przeciwko władzy brytyjskiej w Indiach, zwanego powstaniem sipajów; przewodził powstaniu w Cawnpore, po pokonaniu jego sił przez wojska brytyjskie, które odbiły miasto w lipcu 1857, uciekł do Nepalu. [przypis edytorski]

<sup>78</sup>*Greathed*, *Edward* (1812–1881) — brytyjski oficer; podczas powstania sipajów dowodził kolumną, która pokonała i rozproszyła powstańców w bitwie pod Agrą w sierpniu 1857; brał udział w ataku na Delhi oraz odsiecz Lucknow. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*Madras* — wielkie miasto w Indiach, nad Zatoką Bengalską. [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*wyspa Blair* — dziś: wyspa Andaman Południowy, której główne miasto nosi nazwę Port Blair, na cześć brytyjskiego pułkownika, który w XVIII w. prowadził tam badania krajoznawcze. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*Mount Harriet* — ob. Mount Manipur, najwyższy szczyt wyspy Andaman Południowy, 383 m n.p.m. [przypis edytorski]

kapitan Morstan i porucznik Bromley Brown, dowódcy miejscowego garnizonu oraz dwaj czy trzy urzędnicy więzienni, wytrawni starzy gracze. Dobrane towarzystwo.

Uderzyło mnie z czasem jedno: wojskowi stale przegrywali, wygrywali zaś cywile. Nie mówię, że było w tym coś podejrzanego, stwierdzam tylko fakt. Urzędnicy więzienni od czasu przybycia na Andamany nie robili prawie nic, tylko grali w karty, znali je więc wyśmienicie, podczas gdy wojskowi grywali jedynie dla zabicia czasu i kart nie studiowali. Po każdym wieczorze wojskowi ubożeli, a im więcej tracili, tym bardziej palili się do gry. Najmniej szczęścia miał major Sholto. Z początku płacił banknotami i złotem, ale wkrótce doszło do weksli<sup>82</sup>, i to na znaczne sumy. Niekiedy, jakby dla zachęty, wygrywał, potem znów szczęście się od niego odwracało. Cały dzień chodził wówczas jak struty i coraz częściej zaglądał do butelki.

Pewnego wieczora przegrał więcej niż zwykle. Siedziałem właśnie w swej chacie, gdy nadszedł z kapitanem Morstanem, powracając do domu. Żyli ze sobą w wielkiej przyjaźni i nie rozstawali się prawie. Major rozpaczał z powodu przegranej.

„Skończyło się — mówił, gdy mijali moją chatę. — Muszę podać się do dymisji, jestem zrujnowany”.

„Głupstwo — odparł kapitan, klepiąc go po ramieniu. — I ja nie miałem dziś szczęścia, ale...”

Oto wszystko, co dosłyszałem, lecz wystarczyło to do powzięcia pewnej decyzji.

W kilka dni później, gdy major Sholto spacerował nad brzegiem, skorzystałem ze sposobności, by z nim pomówić.

„Chciałbym pana poprosić o radę, panie majorze” — rzekłem.

„Tak, Small, o co chodzi?” — zagadnął, wyjmując z ust fajkę.

„Chciałem pana majora zapytać, komu właściwie należałoby powierzyć ukryty skarb. Znam miejsce, gdzie leży z pół miliona, a ponieważ sam posiłkować tego nie mogę, myślę więc, że najlepiej będzie, gdy skarb oddam odpowiednim władzom. Może mi wówczas zredukują karę”.

„Pół miliona, Small?” — zapytał major stłumionym głosem, patrząc mi bystro w oczy, jakby chcąc się przekonać, czy mówię serio.

„Tak jest... Klejnoty i perły. Czekają tylko na kogoś, kto je zabierze. Ponieważ zaś właściciel pozbawiony jest właśnie wszelkich praw i nie może mieć żadnej własności, więc skarb będzie należał do pierwszego, kto po niego sięgnie”.

„Do rządu — wyjąkał major — do rządu...”

Powiedział to z takim wahaniem, że poczułem, iż połknął przynętę.

„A zatem pan major sądzi, że powinienem zawiadomić gubernatora?” — zapytałem spokojnie.

„Wolnego, wolnego!... Trzeba pomyśleć. Inaczej możesz później żałować. Opowiedz mi coś o pochodzeniu tego skarbu”.

Opowiedziałem całą historię, z pewnymi tylko zmianami, żeby nie mógł rozpoznać miejsca. Major stał milczący i zamyślony. Po drzeniu jego ust poznałem, jaka w jego duszy toczy się walka.

„To bardzo ważna sprawa — rzekł w końcu. — Nie mów nikomu ani słowa, zobaczę się z tobą wkrótce”.

W dwa dni później major z kapitanem Morstanem, zaopatrzeni w latarnię, przyszli nocą do mojej chaty.

„Powtórz kapitanowi Morstanowi to, coś mnie opowiadał” — zwrócił się do mnie major. Powtórzyłem wszystko jota w jota.

„Czy to możliwe? — spytał major. — Można w to wierzyć?”

Kapitan Morstan skinął głową.

„Słuchaj, Small — odezwał się do mnie major. — Rozmawiałem w tej sprawie z kapitanem i doszliśmy do wniosku, że rząd właściwie nie ma nic do twojej tajemnicy, że to twoja sprawa osobista. A teraz powiedz nam, ile żądasz za tę tajemnicę? Gotowi jesteśmy kupić ją od ciebie, chodzi tylko o porozumienie się co do warunków”.

---

<sup>82</sup>weksel — dokument stanowiący pisemne zobowiązanie wystawcy do zapłacenia określonej osobie (lub okazicielowi) określonej sumy w oznaczonym terminie; używany m.in. jako zabezpieczenie zobowiązań pieniężnych, zamiast natychmiastowej zapłaty za towar lub usługę. [przypis edytorski]

Usiłował mówić tonem obojętnym, ale w oczach jego iskrzyło się podniecenie i chciwość.

„Proszę panów — odparłem, starając się również zachować obojętność, lecz czując podobne podniecenie — człowiek w moim położeniu może postawić tylko jeden warunek. Panowie ułatwią mi i moim trzem towarzyszom odzyskanie wolności, a my w zamian damy piątą część skarbu”.

„Piątą część? — rzekł. — To niezbyt pociągające”.

„Wypadnie po pięćdziesiąt tysięcy na każdego” — wyjaśniłem.

„Ale w jaki sposób możemy wam przywrócić wolność? Żądasz niemożliwości”.

„Bynajmniej — rzekłem. — Obmyśliłem to już do najdrobniejszych szczegółów. Jedyną przeszkodą jest brak łodzi odpowiedniej do dalekiej podróży i zaopatrzenia w wystarczający zapas żywności. W Kalkucie<sup>83</sup> i Madrasie jest jednak mnóstwo małych żaglówek. Niech panowie sprowadzą tu coś takiego, wsładziemy na pokład nocą, wysadzicie nas gdziekolwiek na wybrzeżu Indii i w ten sposób spełnicie warunki umowy”.

„Gdybyś był sam...” — zauważył major.

„Żaden albo wszyscy — rzekłem. — Robimy wszystko we czterech”.

„Widzisz — zwrócił się major do kapitana. — Small jest człowiekiem honoru. Nie opuszcza przyjaciół. Możemy mu ufać”.

„Paskudna sprawa — rzekł kapitan. — Ale jeśli to prawda, pieniądze nagrodzą nam kłopoty”.

„Słuchaj, Small — odezwał się major. — Spróbujemy ci pomóc. Przede wszystkim jednak musimy stwierdzić, czy mówisz prawdę. Powiedz, gdzie jest ukryta szkatułka, wezmę urlop i pojadę do Indii zbadać rzecz na miejscu”.

„Zaraz, nie tak prędko — rzekłem, odzyskując zimną krew, w miarę jak major zapalał się coraz bardziej. — Muszę mieć zgodę towarzyszy. Powiedziałem, że wszyscy albo żaden”.

„Głupstwo! Co takich trzech czarnych może mieć wspólnego z naszą umową?”

„Czarni czy nie, ale to moi współpracownicy”.

W powtórny zebrań uczestniczyli już Mahomet Singh, Abdullah Khan i Dost Akbar. Omówiliśmy raz jeszcze całą sprawę i zawarliśmy umowę. Mieliśmy dostarczyć oficerom plany starego fortu Agry i oznaczyć miejsce, gdzie ukryty był skarb. Major Sholto miał pojechać do Indii, by sprawdzić, czy nasza opowieść jest prawdziwa... Po znalezieniu szkatułki miał ją zostawić na miejscu i wysłać po nas małą żagłówekę zaopatrzoną w prowiant na dłuższą podróż, która to żagłóweka miała zacumować przy wyspie Rutland<sup>84</sup>, dokąd mieliśmy się udać. Po czym major miał wrócić do swych obowiązków.

Następnie kapitan Morstan miał spotkać się z nami w Agrze, gdzie dokonaliśmy podziału skarbu. Morstan miał zabrać dwie części: swoją i majora. Przypieczętaliśmy ten układ najuroczystszymi przysięgami, jakie wyobraźnia ludzka mogła podyktować. Ślęczałem całą noc z piórem w dłoni. Nad ranem miałem gotowe dwa plany podpisane „Znakiem Czterech”, to jest Abdullaha, Akbara, Mahometa i moim.

Nudzę panów nieco tą długą opowieścią. Pan Jones niecierpliwi się, chciałby mieć mnie już pod kluczem. Będę się zatem streszczał. A więc Sholto pojechał do Indii i... nie wrócił. Kapitan Morstan pokazał mi wkrótce potem jego nazwisko na liście pasażerów statku pocztowego<sup>85</sup>. Umarł mu stryj, po którym odziedziczył majątek, więc wystąpił z wojska. Ale mając już własne pieniądze, zniżył się do nieuczciwego potraktowania pięciu ludzi. Morstan pojechał do Agry i przekonał się, że skarb został wykradzony.

Ten łotr zabrał wszystko, nie wypełniwszy ani jednego z przyjętych warunków. Odtąd żyłem jedynie pragnieniem zemsty. Myślałem o niej we dnie, śniłem po nocach. Ta żądza żarła mnie z niepokonaną siłą. Nie dbałem o prawo ani o szubienicę. Uciec, wyśledzić Sholta, zdusić go za gardło — było jedynym pragnieniem mego życia. Nawet skarb stracił dla mnie swój urok wobec idei zamordowania Sholta.

<sup>83</sup>Kalkuta — wielkie miasto w Indiach, w delcie Gangesu; w czasach kolonialnych od 1858 do 1911 stolica Indii Brytyjskich. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>Rutland — wyspa archipelagu Andamanów, położona ok. 20 km na pld. od Port Blair na Andamanie Południowym. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>statek pocztowy — niewielki statek kursujący regularnie na stałej trasie i przewożący przesyłki pocztowe, pasażerów oraz niewielkie ilości towarów. [przypis edytorski]

Nie brałem się nigdy w życiu za coś, co by mi się nie powiodło. Mówiłem panom już, że zdobyłem trochę wiadomości medycznych. Pewnego dnia, gdy doktor Somerton leżał w febrze, więźniowie znaleźli w lesie Andamańczyka. Wyspiarz był ciężko chory i szukał odludnego miejsca, gdzie mógłby umrzeć. Zająłem się nim, leczyłem go i po dwóch miesiącach wyzdrowiał. Przywiązał się przy tym do mnie i nie chciał wracać do lasu. Nauczyłem się jego języka, co wzmogło jeszcze jego przywiązanie do mnie.

Tonga — tak mu było na imię — był doskonałym wiosłarzem i posiadał własne duże czółno. Przekonawszy się, że był mi oddany i gotów jest na wszystko, byle mi się przysłużyć, postanowiłem wykonać wreszcie zamiar ucieczki. Porozumiałem się z nim i stanęło, że Tonga popłynie na swym czółnie do starej, niestrzeżonej przystani, gdzie spotka się ze mną. Polecilem mu zabrać kilka naczyń z wodą do picia, dużo orzechów kokosowych i batatów<sup>86</sup>.

Tonga był bardzo uczciwy i wierny. W oznaczoną noc jego czółno było na przystani. W pobliżu jednak spotkałem jednego z dozorców więziennych, który nigdy nie omijał sposobności, żeby mnie znieważać i skrzywdzić. Poprzysiągłem mu zemstę i właśnie nadawała się okazja. Po prostu los postawił mi go na drodze, bym spłacił dług, zanim opuścę wyspę. Stał na grobli, z karabinem na ramieniu, zwrócony do mnie tyłem. Obejrzałem się dokoła, szukając kamienia, żeby mu łeb roztrzaskać, lecz nie dostrzegłem nic odpowiedniego.

Wówczas przyszło mi nagle coś do głowy. Odczepiłem drewnianą nogę. Trzy długie skoki — i rzuciłem się na dozorcę. Chwycił karabin, ale tymczasem palnąłem go pałką w głowę z taką siłą, że roztrzaskałem mu czaszkę. Upadliśmy obaj, bo straciłem równowagę. Przywiązałem nogę, pośpieszyłem do czółna, a w godzinę później byliśmy już na pełnym morzu.

Tonga zabrał całe swoje mienie, broń i swoich bogów. Między innymi miał długą, bambusową włócznię i kilka andamańskich mat kokosowych, z których zrobiłem żagiel. Dziesięć dni błądziliśmy po morzu, zdani na los, aż wreszcie jedenastego dnia zabrał nas na pokład parowiec, wiozący pielgrzymów malajskich z Singapore do Jiddah. Tonga i ja poznaliśmy się z nimi szybko. Mieli wielką zaletę: nie narzucali się i o nic nie pytali.

Gdybym chciał opowiedzieć wszystkie przygody, jakie mnie i mojego towarzysza spotkały, zatrzymałbym was do świtu. Włóczyliśmy się po świecie, a zawsze coś odgradzało nas od Londynu. Myśl o celu wędrówki nie opuszczała mnie ani na chwilę. Śniłem o majorze Sholto noc w noc. Stukrotnie zabijałem go we śnie. Nareszcie trzy czy cztery lata temu znaleźliśmy się w Anglii. Odnalazłem szybko mieszkanie Sholta, chodziło więc już tylko o to, żeby się przekonać, czy skarb spieniżył, czy posiada go jeszcze. Zaprzyjaźniłem się w tym celu z kimś, kto mógł mi być pomocny. Niebawem dowiedziałem się, że major był w posiadaniu skarbu. Usiłowałem tedy różnymi sposobami dostać się do niego. Przebiegły był jednak, bestia, miał zawsze przy sobie dwóch bokserów, oprócz synów i *khitmutgara*.

Pewnego dnia powiedziano mi, że major kona. Wściekły, iż może mi się w ten sposób wymknąć, podążyłem do ogrodu i ujrzałem go przez okno leżącego w łóżku w otoczeniu synów. Byłbym sobie poradził ze wszystkimi, gdy nagle ujrzałem, że opadła mu szczęka. Wyzionął ducha.

Tej samej nocy dostałem się do jego pokoju i przerzuciłem papiery, szukając wskazówki, gdzie są ukryte klejnoty. Nie znalazłem nic, co doprowadziło mnie do ostatniej pasji. Wychodząc, pomyślałem sobie, że jeśli spotkam kiedykolwiek przyjaciół Sikhów, będą się cieszyć, słysząc, że zostawiłem przy nieboszczyku znak zemsty. Zawróciłem więc i nabazgrałem nasz „Znak Czterech”, taki jak był na planie, i przypiąłem kartkę na pierśi trupa. Byłoby już zanadto, gdyby tak zeszedł do grobu bez żadnej pamiątki od nas, okradzionych i oszukanych.

Zarabiałem wówczas na życie, pokazując biednego Tonga na jarmarkach i tym podobnych zabawach jako ludożercę. Tonga jadał surowe mięso, wykonywał taniec wojenny i... zbieraliśmy dosyć grosza. Z Pondicherry Lodge miałem stale wiadomości, przez kilka lat nie było jednak nic nowego. Ciągłe szukano skarbu. Wreszcie zaszło to, na co czekaliśmy

<sup>86</sup>*batat* — roślina uprawiana w strefie międzyzwrotnikowej, posiadająca jadalne, mączyste bulwy, nazywana też słodkim ziemniakiem. [przypis edytorski]

tak długo. Skarb znaleziono! Był ukryty na strychu, nad laboratorium Bartholomeusa Sholto. Przybyłem niezwłocznie zbadać teren, ale nie mogłem dostać się na górę z moją drewnianą nogą. Dowiedziałem się, że w dachu jest kłapa, jak również o jakiej godzinie Sholto jada kolację. Zdawało mi się, że przy pomocy Tonga załatwię się ze wszystkim bez trudu.

Przyprowadziłem go na miejsce i opasałem długą linką. Zwinny jak kot, szybko dostał się na dach, nieszczęście chciało jednak, iż Bartholomeus był jeszcze w pracowni. Tongo sądził, że zabijając go, uczyni coś bardzo mądrego, bo gdy wszedłem po linie, był napuszony jak indyk. Przeraził się moich kłatw i czmychnął. Zabrałem szkatułkę, spuściłem ją na dół, zsunąłem się po linie, zostawiając na stole „Znak Czterech” na dowód, że klejnoty powróciły do ludzi, którzy mieli do nich prawo. Tonga wciągnął linę, zwinął ją i wrócił drogą, którą przyszedł.

Zdaje się, że niewiele mam już do powiedzenia. Słyszałem, jak jakiś przewoźnik chwalał szybkość „Aurory”, wpadłem więc na myśl, żeby użyć jej do ucieczki. Umówiłem się ze starym Smithem i przyrzekłem mu znaczną sumę, jeśli nas dowiezie do okrętu. Smith wiedział, że sprawa była nieczysta, ale nie zwierzyłem mu się ze swej tajemnicy.

Wszystko to jest szczerą prawdą. Mówię nie po to, żeby panów zabawić, bo nie świadczyliście mi żadnej grzeczności, tylko z przekonania, że najlepszą moją obroną będzie zupełna szczerść. Chcę, abyście wiedzieli, jak niegodziwie obszedł się ze mną major Sholto i że nie byłem powodem śmierci jego syna.

— Ciekawa opowieść — odezwał się Sherlock. — Odpowiednie zakończenie nader interesującej sprawy. W ostatniej części opowiadania nie było dla mnie nic nowego prócz faktu, że przynieśliście swoją linę. Tego nie wiedziałem. Nawiasem mówiąc, myślałem, że Tonga pogubił wszystkie strzały, tymczasem wystrzelił w nas jeszcze jedną z łodzi.

— Zgubił wszystkie prócz ostatniej, którą miał w rurce.

— Aha... prawda — rzekł Holmes. — Nie pomyślałem o tym.

— Czy chce pan ode mnie jeszcze jakichś wyjaśnień? — spytał aresztant uprzejmie.

— Nie, dziękuję.

— Panie Holmes — odezwał się Jones — wiemy, że zajmuje się pan badaniem wszelkich zbrodni i że jest znawcą nie lada, ale obowiązek obowiązkim. Ja już i tak przekroczyłem rygor, przystając na pańskie żądanie. Będę spokojniejszy, gdy ten nasz gaduła znajdzie się pod kluczem. Dorożka czeka, inspektorzy stoją na dole. Dziękuję panom za pomoc. Będą panowie wezwani na świadków podczas procesu. Dobranoc.

— Dobranoc — rzekł Small.

— Naprzód! — zakomenderował przezorny Jones. — Muszę się pilnować, żebyś mnie przypadkiem nie zdradził swoją pałką, jak tego dżentelmena na Andamanach.

— A więc *finita la commedia*<sup>87</sup> — rzekłem po chwili milczenia. — Obawiam się, że to ostatnia sprawa, którą prowadziliśmy wspólnie. Oświadczyłem się dziś miss Morstan i zostałem przyjęty.

Holmes skrzywił się i westchnął głęboko.

— Obawiałem się tego — rzekł. — Doprawdy, nie ma ci czego wieszować.

Poczułem się dotknięty.

— Masz jakiś powód do niezadowolenia z mego wyboru?

— Bynajmniej. Jest to jedna z najbardziej czarujących młodych dam, jakie spotkałem w życiu. Mogłaby być bardzo użyteczna w naszej pracy. Stanowczo posiada zdolności w tym kierunku. Zauważ, jak starannie spośród wszystkich innych papierów ojca zachowała właśnie plan Agry. Ale miłość wywołuje wzruszenia, a wszelkie wzruszenie jest wrogiem chłodnego rozsądku, który cenię nade wszystko. Sam nie ożenię się nigdy, bo źle by to wpłynęło na mój rozsądek.

— Myślę, że mój rozsądek wytrzyma tę próbę — rzekłem z uśmiechem. — Ale widzę, że jesteś zmęczony.

— Tak, zaczyna się już reakcja. Znowu będę do niczego przez cały tydzień.

— Szczególna rzecz — zauważyłem — jak stan, który normalnie nazwałbym lenistwem, nawiedza cię zawsze po wybuchach energii.

Miłość, Rozum,  
Małżeństwo

<sup>87</sup>*finita la commedia* (wł.) — komedia skończona. [przypis edytorski]

— Tak, jestem materiałem na klasycznego próżniaka. Często przychodzą mi na myśl te wersy Goethego:

*Schade dass die Natur nur einen Mensch aus Dir schuf,  
Denn zum würdigen Mann war und zum Schelmen der Stoff*<sup>88</sup>.

Ale wracając do naszej sprawy, przekonałeś się, że tak jak przypuszczałem, mieli w domu współnika, a mógł nim być tylko Lal Rao. Jones ma więc tę jedną niepodzielną zasługę, że złapał choć jedną rybę do sieci.

— Podział jest tym razem niesprawiedliwy. Tyś wykrył, wyszedł wszystko. Ja zdołem żonę, Jones rozgłos, a cóż zostaje dla ciebie?

— Dla mnie — rzekł Sherlock Holmes — pozostaje zawsze ta oto flaszeczka...

I wyciągnął szczupłą, białą dłoń po kokainę.

---

<sup>88</sup>*Schade dass die Natur (...) zum Schelmen der Stoff* (niem.) — Szkoda, że natura stworzyła z ciebie tylko jednego człowieka, ponieważ materiał był na godnego mężczyznę i na hultaja (epigram nr 20, pt. *Prorok*, ze zbioru epigramatów satyrycznych *Xenien*, napisanego w 1796 wspólnie przez Johanna Wolfganga Goethego oraz jego przyjaciela Friedricha Schillera). [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na Licencji Wolnej Sztuki 1.3. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/doyle-znak-czterech/>

Tekst opracowany na podstawie: Arthur Conan Doyle, Znak czterech, tłum. W. Widigier, Dom Książki Polskiej, [Warszawa, 1926].

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Wolne Lektury z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki Uniwersyteckiej w Warszawie.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7052-9

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.